

KSIĘGI OSOBLIWOŚCI

Po raz pierwszy ujawnione zdumiewające fakty
dotyczące katastrofy UFO z 1947 roku!

ZDARZENIE W ROSWELL



CHARLES BERLITZ & WILLIAM MOORE

Charles Berlitz & William Moore

ZDARZENIE W ROSWELL

Tytuł oryginału

THE ROSWELL INCIDENT

SPIS TREŚCI

Wstęp

1. UFO na niebie i w kosmosie
2. Zdarzenie w Roswell
3. Army Air Force wobec rozbitego UFO i martwych istot pozaziemskich
4. Relacje świadków – miasto pamięta
5. Obcy
6. „Przecieki”
7. Prezydent i ukrywany spodek
8. „Ścisłe tajne” na zawsze
9. Rosyjskie związki

WSTĘP

Więść niesie, że w pierwszych dniach czerwca 1947 roku nad Nowym Meksykiem rozbił się pozaziemski statek kosmiczny. Z pozoru informacja ta mogłaby wydać się kolejną sensacją, jedną z tych, których pełne są czasopisma „ufologiczne” i tysiące książek, jakie we wszystkich językach świata napisano o nie zidentyfikowanych obiektach latających. Tym, co jednak wyróżnia owo zdarzenie, jest jego wyjątkowa żywotność w świadomości wielu ludzi i nieustanne zainteresowanie nim kręgów naukowych, rządowych i prawniczych.

Gdy książka ta oddawana była do druku, zainteresowane tą sprawą stowarzyszenie – Citizens Against UFO Secrecy (Obywatele Przeciwko Utajnianiu UFO) wytaczało właśnie proces Centralnej Agencji Wywiadowczej domagając się, by udostępniła ona informacje na temat rozbitych niezidentyfikowanych obiektów latających. Wysuwając takie roszczenia CAUS odwoływało się do Karty Wolności Informacji (Freedom of Information Act). Dodatkowo CAUS przejęło na siebie wcześniejszy proces, jaki w tej samej sprawie wytoczyło CIA inne stowarzyszenie – Ground Saucer Watch. W tych procesach zarzucono agencji między innymi: ukrywanie informacji, utajnianie kartotek, „nakładanie kagańca” świadkom, nadużywanie klauzuli tajności dyktowanej względami bezpieczeństwa narodowego. Wydarzenia zrelacjonowane przez prasę i radio, zanim Army Air Force (nazwę tę zmieniono na Air Force właśnie w roku 1947) narzuciło im obowiązek przestrzegania klauzuli tajności, dowodzą, że części rozbitego statku były przewożone z bazy do bazy rządowymi środkami transportu w najgłębszej tajemnicy i że szczątki te oraz martwi pasażerowie pojazdu (z których jeden – jak mówiono – w chwili znalezienia był żywy) są wciąż pod ochroną w Kwaterze Głównej CIA mieszczącej się w Langley w stanie Wirginia.

Zapewne niektórzy pamiętają relacje, sprzed 1947 roku, o rzekomej inwazji nie zidentyfikowanych pojazdów latających (na długo przedtem nim latające spodki stały się tak popularne). Były to intrygujące doniesienia w czasopismach meteorologicznych i astronomicznych o pojawiających się w nocy na niebie obiektach latających, które nie były ani statkami powietrznymi, ani meteorami.

Oto cytat z *Monthly Weather Review* (z marca 1904 roku):

Porucznik Frank H. Schofield dowodzący okrętem USS *Supply* poinformował, że 22 lutego 1904 roku on i członkowie jego załogi widzieli wieczorem na niebie trzy olbrzymie silnie świecące obiekty przesuujące się w szyku wysoko nad wodami Atlantyku. Największy z tych obiektów miał średnicę sześciokrotnie większą od średnicy Słońca.

Biuletyn Kanadyjskiego Królewskiego Towarzystwa Astronomicznego z marca 1913 opublikował utrzymaną w podobnym tonie kompilację fragmentów meldunków profesora Chan ta z Toronto dotyczących nie zidentyfikowanych obiektów latających. „Obiekty te przemieszczały się ze wschodu na zachód wzdłuż granicy amerykańsko-kanadyjskiej” – twierdził profesor Chant, zaś późniejsze kontrole zaprzeczyły, by jakiegokolwiek statki powietrzne zbudowane przez człowieka znajdowały się tej nocy na niebie. W meldunkach dostarczonych przez innych obserwatorów tego terenu zgodnie stwierdzano, że „wielki świecący obiekt poruszający się po niebie zbudowany był z trzech lub czterech części, z których każda zakończona była ogonem” oraz że gdy obiekt ten znikł, pojawiła się druga, a potem trzecia grupa identycznych obiektów. „Pojawiły się tam trzydzieści, może trzydzieści dwa takie pojazdy w ciągu godziny... przesuwały się rzędami po cztery, trzy i dwa. To uszeregowanie było doskonałe, sprawiało wrażenie pokazu manewrów lotniczych...”

Tylko w samej centrali CIA znajduje się dziesięć tysięcy dokumentów związanych z pojawianiem się UFO. Stały wzrost liczby tych doniesień zwraca uwagę na następującą zależność: częstotliwość zaobserwowanych pojawień się UFO rośnie wprost proporcjonalnie do tempa naszego rozwoju naukowego i technologicznego. Spostrzeżenia pilotów i pasażerów samolotów, którzy

widzieli nie zidentyfikowane obiekty latające oraz astronautów, którzy często spotykają UFO w przestrzeni kosmicznej, są potwierdzone dzięki rejestrowaniu ich przez radary.

Mimo rosnącej liczby meldunków, zataczające coraz szersze kręgi zainteresowanie nie zidentyfikowanymi obiektami latającymi wciąż jest uważane za coś w rodzaju aberracji. Dzieje się tak prawdopodobnie dlatego, że nie ma żadnego dowodu na istnienie tych obiektów, nie istnieje żaden *corpus delicti*.

Gdyby kiedykolwiek jakiś nie zidentyfikowany obiekt latający znaleziony został na terenie kontrolowanym przez któreś z wielkich mocarstw, bądź też na terytorium jakiegoś mniejszego państwa, byłby – co zrozumiałe – ukrywany tak długo, dopóki władze tych państw nie zdecydowałyby co z nim zrobić, jak wykorzystać go do własnych celów. Prawdopodobnie właśnie to wyjaśnia tajemnicę „zdarzenia w Roswell”. Zdarzenie w Roswell, które jest czymś znacznie więcej niż tylko pasjonującą zagadką, wciąż trwa...

Zgodnie z doniesieniami, kolejnym badaniom – być może prowadzonym z zamiarem dokonania rekonstrukcji – poddaje się szczątki statku kontynuowane są analizy stopów nieznanymi metali, prowadzone są próby odczytania za pomocą komputerów deszyfrujących znaków hieroglificznych odkrytych we wnętrzu statku, przeprowadza się analizy medyczne budowy ciał humanoidalnych członków załogi.

Prezentowane na kartach tej książki nowe wyjaśnienia zarówno naocznych świadków, jak i rodzin tych, którzy w przeszłości niechętni byli składaniu jakichkolwiek zeznań oraz reneksje, na które po namyśle zdobyli się niektórzy członkowie personelu wojskowego, wcześniej ukrywający istotne fakty i informacje, przynoszą dość przekonujące dowody na to, że katastrofa statku kosmicznego w 1947 roku nie była zbiorową halucynacją, ale rzeczywiście miała miejsce.

Od początku ery kosmicznej często sugeruje się nam, że to my, zamieszkująca Ziemię rasa ludzka, jesteśmy o krok od uzyskania ostatecznych dowodów na to, iż nie jesteśmy jedyną formą życia w naszej galaktyce i że jesteśmy bliscy nawiązania kontaktów z niektórymi naszymi sąsiadami w kosmosie.

Być może taki kontakt miał miejsce w Nowym Meksyku w 1947 roku, a teraz wraz z ujawnieniem nowych informacji (dzięki Kartce Wolności Informacji) jego znaczenie stanie się zrozumiałe.

1. UFO NA NIEBIE I W KOSMOSIE

Nie zidentyfikowane obiekty latające z całą pewnością nie są niczym nowym. Ludzie zawsze, gdy spoglądali w niebiosa, widzieli (bądź wierzyli, że widzą) latające postacie, anioły, diabły, bogów, znaki i omeny; ostatnimi czasy – utraciwszy wcześniejszą wiarę – dostrzegają statki powietrzne pochodzące najwyraźniej nie z ziemskich baz. Nie wiadomo, ile z owych zjawisk było wynikiem błędnej interpretacji lub też wytworem wyobraźni. Niemniej, jeśli choćby tylko dwadzieścia procent owych obiektów pochodziło spoza Ziemi (co sugerują dane opublikowane w *Air Force Project Blue Book, Special Report* nr 14), to od momentu, gdy ludzie zaczęli dokumentować zjawiska dotyczące gości z nieba, Ziemię odwiedziły miliony tych tajemniczych istot.

Ze starożytnego Egiptu pochodzi wzmianka, w której opisano ogromne ogniste kręgi. Pojawiły się one wieczorem na niebie, zagrażając faraonowi stojącemu w rydwanie na czele armii. W czasie trwania tego zagadkowego zjawiska faraon zachował zimną krew. Prorok Ezechiel miał, jak się zdaje, jakieś kontakty z tajemniczym statkiem i jego kapitanem, którego nazywał Panem. *Księga Ezechiela* zawiera wspaniały opis lądowania kosmicznej kapsuły sporządzonej w prostym i zrozumiałym języku.

Niebiosa w starożytności wydawały się pełne „podróżnych”. Asyryjczycy widzieli latające byki, Grecy i Arabowie – szybujące w chmurach konie, bogaci Persowie wierzyli w latające dywany, a wojowniczy Rzymianie widzieli na niebie zarówno puklerze i włócznie, jak i całe rozgrywane tam bitwy. Te zmagania na niebie dostrzegali oni głównie wtedy, gdy sami – na ziemi – toczyli bitwy.

Gdy świat starożytny został schryścianizowany, ludzie zaczęli spostrzegać na niebie gorejące krzyże oraz inne groźne znaki zapowiadające plagi i choroby. Konstantyn, cesarz Bizancjum, zobaczył coś na niebie przed bitwą, która skłoniła go do przyjęcia chrześcijaństwa, zmieniając tym samym bieg historii.

Gdy renesans skierował ludzką myśl ku poznawaniu świata, nie zidentyfikowane obiekty latające przybrały formę galeonów i karaweli, zaś gdy pewien Francuz rozpoczął eksperymenty z balonami, kule jakie dostrzegano na niebie, zaczęto kojarzyć właśnie z balonami wytwarzanymi przez Francuzów. Pod koniec XIX wieku nie zidentyfikowane obiekty latające opisywano jako poruszające się z ogromną prędkością statki w kształcie wrzecion i cygar. W czasach obu wojen światowych sądzono, że są one jakąś nieznaną bronią, o której użycie każda ze stron podejrzewała przeciwnika. Tak działo się aż do roku 1947, kiedy coraz liczniej pojawiające się UFO (początkowo opisywane jako metalowe tarcze lub „rondle”) zaczęto nazywać „latającymi spodkami”.

Być może te wszystkie obserwacje czynione zarówno w przeszłości, jak i obecnie, dotyczą tego samego zjawiska, opisywanego w różny sposób – ubarwiony przez wyobraźnię lub zniekształcony przez skłonność do widzenia tego, co pragnie się ujrzeć. Pewnie dlatego Chińczycy długo wierzyli w to, że widzą na niebie nacierających na siebie świetlistych jeźdźców, Hindusi – wielopokładowe pojazdy, Indianie zamieszkujący obie Ameryki – wspaniałe czółna, a plemiona i narody na wszystkich kontynentach długo trwały w przekonaniu, iż niebiosa pełne są bogów, demonów i świecących potworów.

Nie można obstawać przy tezie, że nie zidentyfikowane obiekty latające są wytworem zbiorowej halucynacji, gdy większość ludzi, głowy państw, wysocy urzędnicy ONZ, wybitni uczeni, astronomowie przekonani są, że te obiekty „odwiedzają” nas regularnie. Pojawiają się nad wielkimi miastami i są widziane przez setki tysięcy ludzi. Lądują w pobliżu stacji telewizyjnych i elektrowni. To je podejrzewa się o spowodowanie pamiętnej przerwy w dostawie prądu w USA w 1965 roku. To one z warkotem pojawiają się w pobliżu samolotów pasażerskich i właśnie one – co zostało odnotowane – niszczą samoloty wojskowe. One też zakłócają przebieg badań kosmicznych, a także

śledzą wysyłane przez nas w kosmos rakiety. Pewna grupa ludzi jest tak głęboko przekonana o nieustannej obecności tych obiektów nad Ziemią, iż jedno z lotnisk we Francji zarezerwowane jest tylko dla statków pozaziemskich.

Gdy człowiek zaczął latać w kosmos, spotkał tam nie zidentyfikowane obiekty latające. Znacznie więcej spotyka się tych obiektów w przestrzeni kosmicznej niż w atmosferze okołoziemskiej. To właśnie wydaje się potwierdzać tezę, iż są to obiekty pozaziemskie; w żadnym razie nie zidentyfikowane obiekty latające nie są bytami nadprzyrodzonymi. Są najprawdopodobniej kosmicznymi sondami lub patrolami. Są dowodem przedsięwzięć skierowanych ku Ziemi przez istoty pozaziemskie, świadczą o działaniach, które o tysiące, a może nawet o miliony, lat wyprzedzają nasze własne próby kosmiczne.

Stosunkowo dużo napisano już o „wizytach” UFO na Ziemi, ale wciąż niewiele wiemy o spotkaniach z tymi obiektami, które miały miejsce w kosmosie, na kolejnych etapach jego podboju. Pewne – wydaje się, że przekonujące – dowody obecności UFO w atmosferze okołoziemskiej zostały dostarczone przez matematyka, fizyka i pisarza Maurice'a Chatelaina, konstruktora statku kosmicznego *Apollo* i byłego szefa działu łączności NASA w czasie misji *Apollo* oraz dokumentalisty pewnej szczególnej fazy bliskich spotkań, jakie z istotami pozaziemskimi mieli amerykańscy badacze. Zgodnie z raportami Chatelaina, z których część oparta była na informacjach pochodzących ze „źródeł wewnętrznych” z czasów, gdy w latach sześćdziesiątych pracował on w NASA, inne zaś na wiarygodnych danych, jakich dostarczyli mu przyjaciele i koledzy z pracy, meldunki o tych spotkaniach, sporządzane na gorąco w czasie lotów kosmicznych, zawsze były cenzurowane, „wyglądane”, korygowane, lekceważone lub zgoła ignorowane przez NASA i właśnie dlatego nigdy nie docierały do publicznej wiadomości. Fakt, że astronauta pozostawali w służbie wojskowej sprzyjał – zdaniem Chatelaina – utrzymywaniu spotkań z istotami pozaziemskimi w tajemnicy. Amerykańscy astronauta, którzy zakończyli już czynną służbę wojskową, wciąż jednak zachowują na ten temat dyskretne milczenie, pozostawiając nas jedynie z relacjami Chatelaina na temat tego, co najprawdopodobniej zdarzyło się zarówno w przestrzeni kosmicznej, jak i na powierzchni Księżyca. Te relacje robią duże wrażenie.

Następujące zestawienie prezentuje te wydarzenia chronologicznie:

Nazwa statku kosmicznego, data	Załoga	Incydent związany z nie zidentyfikowanym obiektem latającym albo nie zidentyfikowanym ciałem kosmicznym
<i>Mercury</i> , 16 maja 1963	Cooper	Podczas przelotu nad Hawajami usłyszał na specjalnej częstotliwości i zarejestrował na taśmie rozmowę prowadzoną w dziwnym języku. Po późniejszym zbadaniu zapisu stwierdzono, że nie był to język, którym posługiwałby się ktokolwiek na Ziemi. Przelatując nad Perth w Australii, zobaczył duży nie zidentyfikowany obiekt latający (UFO), który został dostrzeżony także przez naziemne stacje kontrolne
<i>Gemini 4</i> , 3 czerwca 1964	McDivitt-White	Lecąc nad Hawajami, omal nie zderzyli się ze srebrnym cylindrem o zaokrąglonych końcach, zostawiającym świetlistą smugę. Sfotografowali go.
<i>Gemini 5</i> , 21 sierpnia 1965	Cooper-Conrad	Srebrne jajo mające zielone światła leciało za kapsułą, a później ją wyprzedziło. Widziane z tyłu, miało kształt dysku.
<i>Gemini 7</i> , 4 grudnia 1965	Borman-Lovell	Zrobili zdjęcia ogromnego UFO, wyposażonego w systemy napędowe, który leciał za kapsułą.
<i>Gemini 9</i> , 3 czerwca 1966	Stanford-Cernan	Od chwili startu kapsule towarzyszyło wiele UFO, widzianych zarówno przez personel naziemny, jak i przez załogę kapsuły.
<i>Gemini 10</i> , 18 lipca 1966	Young-Collins	Dwa UFO leciały za kapsułą, a później zniknęły, kiedy załoga poprosiła stację naziemną o obserwowanie ich za pomocą radaru. Później zauważono duży obiekt, który nie był planetą ani planetoidą.
<i>Gemini 11</i> , 12 września 1966	Gordon-Conrad	Długi obiekt zauważony podczas przelatywania nad Madagaskarem. Zdaniem NASA był to radziecki <i>Proton 3</i> , ale ten w chwili zauważenia obiektu znajdował się w odległości 350 mil od kapsuły.
<i>Gemini 12</i> , 11 listopada 1966	Lovell-Aldrin	Zauważyli dwa UFO lecące w odległości pół mili od kapsuły. Obserwowali je i fotografowali.

<i>Apollo 8</i> , 21 grudnia 1968	Borman-Lovell-Anders	Kiedy kapsuła okrążyła Księżyc, zauważyli kilka UFO mających kształt dysków. Zameldowali: „Poinformowano nas, że Święty Mikołaj naprawdę istnieje”. Słyszeli także rozmowy prowadzone w nieznanym języku na częstotliwości radiostacji kapsuły.
<i>Apollo 10</i> , 18-26 maja 1969	Stafford-Young-Cernan	Zauważyli dwa UFO lecące za kapsułą podczas okrążania Księżyca i lotu powrotnego.
<i>Apollo 11</i> , 16 lipca 1969 (lądownie na księżycu)	Armstrong-Collins-Aldrin	Zanim po raz pierwszy wylądowali na Księżycu, wisiały nad nimi dwa UFO i długi cylinder. Kiedy <i>Apollo 11</i> wylądował we wnętrzu księżycowego krateru, na jego krawędzi pojawiły się dwa nie zidentyfikowane statki kosmiczne, które później znów wystartowały. Aldrin sfotografował je, ale zdjęcia nie zostały opublikowane przez NASA.
<i>Apollo 12</i> , 14 listopada 1969	Conrad-Gordon-Bean	Ziemskie obserwatoria zauważyły, że w pobliżu Księżyca kapsule towarzyszyły dwa jaskrawo świecące UFO. Później, kiedy kapsuła w drodze powrotnej znajdowała się blisko Ziemi, zaobserwowano pojawienie się dużego UFO mającego czerwone światła
<i>Apollo 17</i> , 7-19 grudnia 1972	Cernan-Evans-Schmitt	Widzieli niezidentyfikowane obiekty latające w pobliżu Ziemi, niedaleko Księżyca, a także w przestrzeni kosmicznej między Ziemią a Księżycem.

Dodatkowe potwierdzenie tego, że astronauta z statku *Apollo 11* w czasie swego pięciodniowego lotu na Księżyc rzeczywiście przeżyli „kilka mocnych chwil” pochodzi ze źródła ściśle związanego ze stacją Anglia TV w Londynie. Jak informuje to źródło, centrum NASA zmuszone było dokonać zmiany wcześniej wyznaczonego miejsca lądowania modułu *Eagle*, ponieważ odkryto, że w ustalonym miejscu „roiło się” od jakiegoś żelastwa kosmicznego. Jako dowód cytuje następujący, później najprawdopodobniej skasowany, fragment rozmowy, jaką udało się nagrać pewnej anonimowej pośredniczącej osobie. Rozmowa toczyła się między astronautą pułkownikiem Edwinem „Buzz” Aldrinem i stacją kontrolną NASA przed lądowaniem na Księżycu dwudziestego lipca 1969 roku.

ALDRIN: Co to było? Co to było, do diabła? To wszystko, co chcę wiedzieć.

STACJA KONTROLNA: Co się tam dzieje...? (zniekształcone dźwięki)... Wzywam *Apollo 11*...

ALDRIN: Te „maleństwa” były olbrzymie, sir... gigantyczne... O Boże, nie uwierzyłby pan. Melduję, że są tu inne statki kosmiczne, uszeregowane po drugiej stronie krawędzi krateru. Oni wpatrują się w nas z Księżyca.

Choć kilku astronautów kategorycznie zaprzeczyło jakoby kiedykolwiek widzieli w kosmosie jakies nie zidentyfikowane obiekty latające, NASA poinformowała, że jeden z jej pracowników zwolniony został za sprzedaż sfałszowanych nagrań magnetofonowych z zapisem rozmowy podobnej do tej, jaką tu zacytowaliśmy.

Chatelaine twierdzi, że jego informacje są wiarygodne i opublikował je w książce, która ukazała się we Francji, w Anglii i w Stanach Zjednoczonych. Twierdzi on, że:

„Wszystkie loty *Apollo* i *Gemini* były śledzone zarówno z dużej, jak i czasami z bardzo małej odległości przez statki istot pozaziemskich. O każdym takim zdarzeniu astronauta informowali stację kontrolną, ale ona zarządzała wtedy absolutne milczenie na ten temat”.

Żaden z tych meldunków nie zawiera opisu obserwacji dokonywanych zarówno przez Rosjan, jak i Amerykanów, które odnosiłyby się do rzekomo widzianych przez nich konstrukcji zbudowanych na Księżycu, a mogących dowodzić jakichś działań podejmowanych przez UFO obecnie.

Oprócz informacji o spotkaniach w kosmosie znane są także doniesienia o mniej lub bardziej precyzyjnych obserwacjach czynionych przez przypadkowych świadków pojawień się UFO na Ziemi. Dysponujemy wieloma trudnymi do zweryfikowania meldunkami o kosmicznym kidnapingu – porwaniach w kosmos i na pokłady pozaziemskich statków. Przerażeni ludzie opowiadają, że byli tam badani i poddawani przedziwnym eksperymentom psychicznym, a po uwolnieniu cierpieli na dziwne zaburzenia pamięci – tracili rachubę czasu i wydawało im się, że nie było ich tylko kilka chwil, podczas gdy w rzeczywistości ich nieobecność trwała nawet kilka dni.

Mimo że ludzie często widują UFO i prawdopodobnie często je spotykają, nie ma obecnie

żadnego konkretnego dowodu na ich istnienie. Nie mamy pewności, że UFO nie jest jakimś naturalnym fenomenem, takim jak na przykład żarzące się gazy na bagnach czy refrakcja promieni gwiazdnych, albo też optycznym zatrzymaniem obrazu Księżyca lub gwiazd.

Wiele starannie udokumentowanych raportów o spotkaniach z UFO pochodzi od farmerów, kierowców ciężarówek, policjantów, szeryfów i innych osób, które z powodu obowiązków służbowych przebywają nocą poza domem. (Poszczególne epizody filmu pt. „Bliskie spotkania trzeciego stopnia” oparte były na takich właśnie meldunkach, raportach i doniesieniach o spotkaniach z UFO.) Jeśli jednak istoty pozaziemskie przybywające na pokładach swych pojazdów chciały kontaktować się z gatunkiem ludzkim, to dlaczego wybierały osoby i miejsca mało znane, o niewielkim znaczeniu, zamiast lądować w siedzibach największych sił: na dziedzińcu Pentagonu, na środku placu Czerwonego lub na placu Tien-an-men. Wszak miejsca te bardziej sprzyjałyby bezpośrednim „konferencjom na szczycie”.

To zrozumiałe, że naukowcy bardzo ostrożnie podchodzą do tematu, który choć bardzo popularny, to jednak wciąż nie jest akceptowany. Pewien pragnący zachować anonimowość astronom cytowany przez dr. Petera Sturrocka mówi to, co zapewne myśli większa część tego środowiska: „Bardzo trudno zarabiać na życie jako astronom. Poświęcanie czasu nie zidentyfikowanym obiektom latającym byłoby zawodowym samobójstwem”.

Nie ma żadnego dowodu na to, że UFO to wytwór indywidualnej bądź zbiorowej sugestii czy imaginacji, a mimo to wciąż podejrzewa się, że świadkowie i obserwatorzy tych zjawisk są ofiarami własnej wyobraźni.

Przypuśćmy jednak, że jeden z tych „wymaglinowanych” obiektów uległ katastrofie... Załóżmy, że wylądował w miejscu położonym blisko którejś z baz Air Force. Załóżmy też, że był w stanie na tyle dobrym, by można go było zidentyfikować jako UFO. Wyobraźmy sobie dalej, że na pokładzie tego statku znajdował się nienaruszony, choć już martwy, humanoid. Załóżmy, że wewnątrz tego pojazdu na tablicy kontrolnej i na ścianach znajdowały się napisy w jakimś nie znanym na Ziemi języku. Gdyby incydent taki wydarzył się naprawdę, z pewnością umocniłyby wiarę w życie pozaziemskie i w istniejącą poza Ziemią bardzo rozwiniętą cywilizację, ale jednocześnie przed rządem kraju, na którego terenie pojazd ów wylądowałby, stanąłby nie lada problem, jak ustosunkować się do tego zdarzenia – czy poinformować o nim świat, czy też zaprzeczać jakoby coś takiego się wydarzyło...

Wiele scen z powyższego scenariusza science fiction wydarzyło się naprawdę kilkadziesiąt lat temu w Nowym Meksyku. Pierwsza scena mogłaby rozpoczynać się na przykład tak:

MIEJSCE: pokój dalekopisów Radia KOAT, Albuquerque, Nowy Meksyk

CZAS: 7 lipca 1947 roku, godzina szesnasta...

2. ZDARZENIE W ROSWELL

Lydia Sleppy, która oprócz biurowych i administracyjnych obowiązków w rozgłośni radiowej KOAT w Albuquerque, w Nowym Meksyku, pełniła także funkcję teletypistki, siódmego lipca 1947 roku około godziny szesnastej siedziała właśnie przy swej maszynie, gdy zadzwonił telefon. Telefonował Johnny McBoyle, przekazując wiadomość, która przez następne dni miała elektryzować świat, a której znaczenie w tym momencie nie było jeszcze oczywiste.

Johnny McBoyle był reporterem i współwłaścicielem siostrzanej stacji KSWB w Roswell, w Nowym Meksyku. Stacja ta nie miała własnego teleksu i, mając coś pilnego do przekazania, często korzystała z teleksu KOAT. Tym razem McBoyle był bardzo podekscytowany:

„Lydia, bądź przygotowana na bombową wiadomość! Chcemy to nadać prosto do sieci ABC! Posłuchaj! Latający spodek uderzył... Nie, nie żartuję! Rozbił się niedaleko Roswell. Byłem tam i widziałem! Wygląda jak wielki rozgnieciony rondel. Pewien farmer przyholował go pod stajnię swoim traktorem. Tu jest wojsko i oni mają zamiar to zabrać. Cały teren jest zamknięty! Nadaj to! Oni mówią coś o jakichś niewielkich istotach na pokładzie! Zaczynaj nadawać to teleksem natychmiast, jeszcze teraz, gdy jestem na linii!”

Oszołomiona Lydia umieściła słuchawkę w niewygodnej dla siebie pozycji między uchem a ramieniem i zaczęła wystukiwać na klawiaturze teleksu zaskakującą informację McBoyle'a. Ale gdy wystukała kilka pierwszych zdań, maszyna nagle sama się zatrzymała. Ponieważ teleksy z różnych powodów często zachowują się w podobny sposób, ta przerwa nie zaniepokoiła Lydię, choć nigdy przedtem nie traciła ona łączności w samym środku przekazywanej informacji. Wziąwszy więc słuchawkę telefoniczną do ręki powiedziała McBoyle'owi, że dalekopis się zatrzymał. Wyczuliła jednak – jak to dzisiaj wspomina – że od tamtej chwili McBoyle był nie tylko bardziej podekscytowany, ale i najwyraźniej skrepowany rozmową, którą z kimś prowadził w pomieszczeniu, z którego telefonował. Jego głos wydawał się zduszony: „Poczekaj chwilę, zaraz wrócę. Poczekaj... Wrócę na pewno!” Ale nie odezwał się. Zamiast tego dalekopis zaczął pracować, nadając prosto do Lydię. Nadawca nie był zidentyfikowany, a styl jakim się posługiwał był bardzo formalny i lakoniczny:

„UWAGA ALBUQUERQUE: NIE NADAWAĆ! POWTARZAM: NIE NADAWAĆ TEJ WIADOMOŚCI! NATYCHMIAST PRZERWAĆ POŁĄCZENIE!”

Ponieważ Lydia ciągle miała na linii McBoyle'a, powiedziała mu co się stało z dalekopisem i zapytała: „Co mam teraz robić?”

Jego odpowiedź była zaskakująca: „Zapomnij o tym! Nigdy o tym nie słyszałaś! Posłuchaj, nie powinnaś była tego słyszeć! Nie opowiadaj o tym nikomu!” (Później McBoyle opowiedział Lydię Sleppy, że widział samolot, który wraz z tajemniczym obiektem, lub jego częściami na pokładzie wystartował w kierunku Wright Field – Wright-Patterson, ale ochrona składająca się z uzbrojonych żołnierzy nie pozwoliła mu zbliżyć się do samolotu).

Choć było to ostatecznie zetknięcie się Lydię z tym wydarzeniem, później jednak dużo myślała o nim, ponieważ incydent ten stał się tematem poważnej rozmowy, jaką przeprowadził z nią przełożony Merle Tucker po powrocie (w czasie tych wypadków był poza miastem). Tucker obawiał się, że wmieszanie jego stacji w to wydarzenie mogłoby narazić go na odmowę przyznania licencji FCC na dodatkowe stacje, o które chciał poszerzyć swoją sieć Rio Grande Broadcasting Network. W największym stopniu niepokoiło go również to, że nie było żadnej możliwości sprawdzenia, czy zdarzenie to naprawdę miało miejsce.

Szczególnie interesujące wydaje się to, że wielu ludzi, z którymi Tucker próbował rozmawiać o tym incydencie, twierdziło, że obiekt ów spadł na zachód od Socorro (Nowy Meksyk), a nie w pobliżu Roswell, i że zastępca szeryfa tego miasta udał się na miejsce katastrofy i widział szczątki jakiegoś obiektu w kształcie spodka oraz spalone połączenie ziemi. „Potem, nagle – przypomniał sobie w ostatnim wywiadzie – nie mogliśmy znaleźć niczego ani nikogo, kto chciałby o tym rozmawiać”.

Sam Tucker, choć dobrze pamięta to zdarzenie, nie kwapił się do udzielania wywiadów i konsekwentnie odmawiał zgody na nagrywanie jego wypowiedzi.

Stanton T. Friedman, fizyk jądrowy, badacz, napotkał podobny mur milczenia, gdy udało mu się odnaleźć McBoyle'a i próbował przeprowadzić z nim wywiad na ten sam temat. Reakcja McBoyle'a była następująca: „Zapomnij o tym... to się nigdy nie wydarzyło”.

Wydarzenie to miało miejsce mniej więcej w tym samym czasie, kiedy Kenneth Arnold zaobserwował (i zrelacjonował) słynny przelot dziewięciu „talerzy” nad Mount Rainier w stanie Waszyngton, który wywołał pierwszą falę powszechnego zainteresowania nie zidentyfikowanymi obiektami latającymi. Wtedy też zaczęto używać terminu „latające spodki” dla opisywania tych obiektów.

Następne doniesienia wskazywały na zwiększoną aktywność UFO w Arizonie i w Nowym Meksyku. Była ona spowodowana badaniami i próbami atomowymi, lotniczymi ćwiczeniami raketowymi i eksperymentami radarowo-elektronicznymi przeprowadzanymi tam w późnych latach czterdziestych.

Los Alamos, rozrastający się ośrodek badawczy powołany przez *Manhattan Project* w roku 1943 w celu opracowania nowych rodzajów broni i wypróbowania pierwszych bomb atomowych, było jeszcze w 1947 roku „miastem ściśle tajnym” – dokładnie strzeżonym terenem. Podobny status miały ośrodki White Sands, Missile Range i Proving Grounds wokół Alamogordo, gdzie prowadzone były najbardziej zaawansowane badania nad jedynymi niemieckimi raketami V-2, jakie posiadano po tej stronie żelaznej kurtyny. W Nowym Meksyku, w Roswell stacjonowała także jedyna w tym czasie na świecie wyszkolona „grupa atomowa” – 509. Dywizjon Bombowy US Army Air Force. Wszystko to pozwala lepiej zrozumieć, dlaczego w owych letnich miesiącach 1947 roku w Nowym Meksyku zanotowano więcej pojawień się UFO, zarówno w przeliczeniu na głowę mieszkańca, jak i na milę kwadratową, niż w innych stanach Ameryki. Można się było spodziewać, że pozaziemskie wywiady systematycznie obserwujące naszą planetę i cywilizację skoncentrują swe wysiłki na monitorowaniu rejonów, gdzie prowadzono najwięcej badań naukowych.

Przytoczone niżej relacje są nie tylko typowe, ale również bardzo interesujące, bowiem ujawniają wykazane przez obserwatorów znaczne umiejętności opisywania kształtów widzianych obiektów. Wydaje się to tym bardziej godne podkreślenia, że w nocy niełatwo dokonać podobnie precyzyjnych obserwacji.

25 czerwca 1947: Lecący na południe obiekt w kształcie spodka, mniej więcej o połowę mniejszy od Księżyca w pełni, widziany był nad Silver City (stan Nowy Meksyk) przez miejscowego dentystę dr. R. F. Sensenbaughera.

26 czerwca 1947: Dr med. Leon Oetinger z Lexington (stan Kentucky) i trzech inni świadkowie widzieli duży, srebrny, kulisty obiekt nie będący ani balonem, ani sterowcem, lecący z dużą prędkością nie opodal Wielkiego Kanionu.

27 czerwca 1947: John A. Petsche, elektryk z Phelps-Dodge Corporation i inni świadkowie widzieli – nie opodal Tintown w sąsiedztwie Bisbeew południowo-wschodniej Arizonie, blisko granicy z Nowym Meksykiem – obiekt w kształcie dysku poruszający się na dużej wysokości i zmierzający w stronę ziemi. Było to około godziny 10.30.

27 czerwca 1947: Major George B. Wilcox z Warren (stan Arizona) zaobserwował osiem lub dziewięć doskonale rozstawionych dysków poruszających się z wielką prędkością ruchem wahadłowym. Powiedział on, że owe dyski leciały nad jego domem w trzysekundowych odstępach, w kierunku wschodnim, na wysokości około 1000 stóp, nad szczytami gór.

27 czerwca 1947: W. C. Dobs z miejscowości Pope (stan Nowy Meksyk) około godziny 9.50 dostrzegł „biały dysk jarzący się niczym wielka żarówka”. Kilka minut później ten sam lub podobny obiekt lecący nad White Sands Missile Range w kierunku południowo-zachodnim dostrzegł kapitan E. B. Detchmندی i natychmiast zameldował o tym swojemu przełożonemu, podpułkownikowi Haroldowi R. Turnerowi. Tego samego dnia pani Dawidowa Appelzoller z San Miguel (stan Nowy Meksyk) zawiadomiła, że podobny obiekt pojawił się nad miastem, lecąc znów na południowy zachód. Pułkownik Turner z White Sands początkowo oświadczył, że

od 12 czerwca z bazy tej nie odpalono żadnej rakiety. Później, zapewne obawiając się wybuchu hysterii, zidentyfikował ten obiekt jako „meteoryt dzienny” (sic!).

28 czerwca 1947: Kapitan F. Dvyn, pilot lecący w okolicy Alamogordo (stan Nowy Meksyk), oświadczył, że widział „ognistą kulę ciągnącą za sobą płonąca błękitną smugę”, przemieszczającą się pod jego samolotem, która rozplynęła się w czasie gdy ją obserwował.

29 czerwca 1947: Pilot lotnictwa wojskowego prowadzący poszukiwania obiektu, który miał rzekomo upaść nieopodal Clif (stan Nowy Meksyk) oświadczył, że nie zauważył tam niczego oprócz niezwykłego odoru w powietrzu.

29 czerwca 1947: Kierowana przez dr. C. J. Zohna grupa ekspertów badających rakiety okrętowe w White Sands Proving Grounds obserwowała srebrzysty dysk, który poruszał się na dużej wysokości, poza zasięgiem testowanych rakiet.

30 czerwca 1947: Pewien robotnik drogowy o imieniu Price zaobserwował trzynaście srebrnych dysków lecących – jeden za drugim – nad Albuquerque (stan Nowy Meksyk). Początkowo zmierzały one na południe, a następnie gwałtownie zmieniły kurs na wschodni, by potem – równie szybko – skierować się na zachód. Price zaalarmował swoich sąsiadów. Wszyscy wybiegli z domów i stojąc na trawnikach obserwowali manewry wykonywane wysoko nad ich głowami, na niebie.

30 czerwca 1947 (według komunikatu z Tucumari [stan Nowy Meksyk] opublikowanego w *Daily News* 9 lipca): „Pani Helen Hardin zatrudniona w Quay County Abstract Co. 8 lipca poinformowała nas, że 30 czerwca około godziny dwudziestej trzeciej, stojąc na frontowym tarasie swego domu, widziała latający spodek, który z dużą prędkością przemieszczał się ze wschodu na zachód. Pani Hardin powiedziała, że obiekt ów był wielkości połowy Księżyca w pełni i miał lekkożółte obramowanie. Obserwowała go przez około sześć sekund. Początkowo myślała, że to meteor, ale gdy obiekt zbliżył się do ziemi, zauważyła, że poruszał się ruchem wirującym. Odniosła też wrażenie, że spadał znacznie szybciej niż meteor”.

1 lipca 1947: Max Hood, jeden z pracowników Izby Handlowej w Albuquerque, poinformował, że widział błyszczący dysk, który poruszał się ruchem zygzakowatym w północno-zachodniej stronie nieba nad Albuquerque.

1-6 lipca 1947: Siedem niezależnych doniesień o latających spodkach przemieszczających się między Mexicali a Juarez (północny Meksyk).

2 lipca 1947: Państwo Munn poinformowali, iż byli świadkami przelotu nad Phoenix (stan Arizona) wielkiego obiektu latającego zmierzającego w kierunku wschodnim. Działo się to około godziny dwudziestej pierwszej.

3 lipca 1947: Państwo Wilmotowie z Roswell (stan Nowy Meksyk] widzieli jak nad ich domem przeleciał z północy na wschód duży jarzący się obiekt (opis tego przypadku znajduje się w rozdziale trzecim).

Co naprawdę widzieli ci ludzie? Z pewnością nie były to próby z dalekosięznymi, osiagającymi wysokie pułapy rakietami V-2, jakie w tym czasie przeprowadzano w bazie White Sands – co sugerują niektórzy sceptycy. Kontrola raportów z White Sands wykazała, że jedyne próby z V-2, jakie odbyły się w tym czasie, miały miejsce 12 czerwca i 3 lipca 1947 roku.

Najłatwiej byłoby stwierdzić, że obserwacje nie zidentyfikowanych obiektów latających, poczynione po szeroko relacjonowanych zdarzeniach w Mount Rainier, były wynikiem autosugestii świadków, którzy usilnie wpatrywali się w niebo, by zobaczyć obiekty latające, takie jak te, o których powszechnie w tym czasie dyskutowano. Obserwatorzy ci mają skłonność do dopatrywania się UFO w każdej chmurze, w każdym ptaku, w każdym błysku. Taka była zazwyczaj oficjalna reakcja na doniesienia o nie zidentyfikowanych obiektach latających. Pojawienia się UFO będą tak właśnie traktowane dopóki nie zostanie odnaleziony jakiś dowód w postaci statku pozaziemskiego albo też żywej lub martwej istoty pozaziemskiej, a informacja o tym podana do publicznej wiadomości.

3. ARMY AIR FORCE WOBEC ROZBITEGO UFO I MARTWYCH ISTOT POZAZIEMSKICH

2 lipca 1947 roku około godziny dwudziestej drugiej Dan Wilmot, miejscowy sprzedawca artykułów żelaznych, i jego żona siedzieli na tarasie swojego domu przy South Penn Street w Roswell odpoczywając i ciesząc się chłodem wieczoru po jednym z owych gorących dni, jakie przynosi lato w stanie Nowy Meksyk, gdy nagle (jak później mówił o tym pan Wilmot) wielki jarzący się przedmiot pojawił się na południowo-wschodniej stronie nieba i ze znaczną prędkością przeleciał w kierunku północno-zachodnim. Nieco wystraszeni państwo Wilmotowie pobiegli do ogrodu, by obserwować ów obiekt, przypominający swym kształtem „dwa talerze zwrócone ku sobie wnętrzem” i jarzący się silnym światłem płynącym ze środka. Po czterdziestu-pięćdziesięciu sekundach obiekt znikł na północnym zachodzie. Pan Wilmot twierdził, że poruszał się on bezszelestnie, zaś jego żona powiedziała później, iż wydawało jej się, że słyszała słaby, ostry, świszczący dźwięk. Dźwięk ten był słyszalny przez krótki moment, gdy obiekt przelatywał nad głowami państwa Wilmotów.

Obawiając się, że mógłby stać się pośmiewiskiem, Dan Wilmot, którego wydawany w Roswell dziennik *Daily Record* nazwał „jednym z najbardziej szanowanych i godnych zaufania obywateli miasta”, trzymał w tajemnicy swe niezwykle przeżycie prawie przez tydzień, licząc na to, że „ktoś jeszcze wyjawia ten sam sekret i opowie, że widział to samo”. Ale aż do 8 lipca, kiedy rzecznik prasowy bazy wojskowej znajdującej się w Roswell wydał zezwolenie na opublikowanie w prasie pewnej niezwyklej informacji, Wilmot nie słyszał niczego, co mogłoby potwierdzić jego spostrzeżenia. Zważywszy na późniejsze emocje wokół tego zdarzenia, Wilmot mógł pomyśleć, iż był świadkiem incydentu, który stał się pilnie strzeżoną tajemnicą, wydarzeniem trzymanym w sekrecie dopóty, dopóki nie zainteresowało się nim społeczeństwo.

8 lipca, a więc następnego dnia po przygodzie z dalekopisem, jaką miała Lydia Sleppy, porucznik Walter Haut, rzecznik prasowy bazy lotniczej mieszczącej się w Roswell, opierając się na informacjach, jakie zaczęły docierać do bazy, przekazał dziennikarzom następujący komunikat (którego nie uzgodnił z dowódcą bazy, pułkownikiem – a później generałem – Williamem Blanchardem, popełniając niedopatrzenie, co zostało mu później boleśnie uświadomione):

Roswell Army Air Base, Roswell, N. M. 8 lipca 1947, przed południem

Liczne pogłoski o latającym spodku okazały się prawdziwe, kiedy służby wywiadowcze 509. Dywizjonu Bombowego 8 Air Force, przy współpracy jednego z okolicznych farmerów i biura szeryfa w Chaves County weszły wczoraj w jego posiadanie.

Pewnego dnia w zeszłym tygodniu latający obiekt wylądował na jednej z farm niedaleko Roswell. Nie mając łączności telefonicznej, farmer przechował znaleziony dysk do chwili, gdy mógł skontaktować się z biurem szeryfa, który natychmiast powiadomił o tym zdarzeniu majora Jesse A. Marcela ze służby wywiadowczej 509. Dywizjonu Bombowego.

Natychmiast podjęto odpowiednie działania i dysk został zabrany z farmy. Badano go w bazie wojskowej w Roswell, a następnie, decyzją majora Marcela, przekazano do naczelnego dowództwa.

Ta wiadomość, entuzjastycznie przyjęta przez agencję Associated Press, nowojorskiego *Timesa* oraz inne redakcje pojawiła się w wielu gazetach w całych Stanach Zjednoczonych oraz w licznych pismach zagranicznych, również w prestiżowym piśmie londyńskim *Times*.

Dzień przed opublikowaniem wiadomości pochodzącej z bazy wojskowej, podobna informacja, nosząca datę 7 lipca, pojawiła się w serwisie telegraficznym AP z San Francisco pod tytułem

„Latające talerze nad większością stanów USA”. W kontekście wzrostu liczby doniesień o pojawieniach się UFO na terenie Stanów Zjednoczonych, odnotowanego w ciągu minionych dwóch tygodni, informacja ta wydawała się zapowiedzią wydarzeń, które następnego dnia miały zyskać światowy rozgłos.

Ukazujący się w Roswell *Daily Record* 8 lipca opublikował reportaż pod następującym tytułem: „AAF chwytła latający spodek w rejonie Roswell. Nie są znane żadne szczegóły dotyczące latających dysków”. W reportażu sugerowano zarówno rozwiązanie Flying Saucer Controversy, jak i dawano do zrozumienia, że AAF (Army Air Force) od początku próbowało utrzymać to, co się wydarzyło w tajemnicy.

Oto podstawowe tezy artykułu w *Daily Record*:

Służba wywiadowcza 509. Dywizjonu Bombowego zakomunikowała, że dziś w południe weszła w posiadanie latającego spodka.

Zgodnie z informacją przekazaną przez ministerstwo za pośrednictwem upoważnionego do tego oficera wywiadu, majora J. A. Marcela, dysk ten znaleziono na pewnej farmie nieopodal Roswell po tym, jak jej – pragnąca zachować anonimowość – właściciel zameldował miejscowemu szeryfowi George'owi Wilcoxowi, że znalazł ten przedmiot na swoim terenie.

Major Marcel i pracownicy jego wydziału udali się na farmę i odnaleźli ów dysk.

Po obejrzeniu przez oficera służby wywiadowczej dysk został przetransportowany (drogą powietrzną) do „wyższego dowództwa”. Biuro informacyjne oświadczyło, że żadne szczegóły dotyczące konstrukcji spodka bądź jego wyglądu nie były ujawnione.

Inny artykuł opublikowany w tym samym numerze roswellońskiego *Daily Record* przyniósł wiadomość, że operator i piloci z prywatnego lotniska w Carrizozo (miejscowości położonej około 35 mil na południowy zachód od farmy Brazela) poinformowali, iż widzieli podobny obiekt podczas lotu. Autor artykułu donosił, że:

Mark Sloan, operator lotniska w Carrizozo, zameldował, że nad lotniskiem, na wysokości 4-6 tysięcy stóp, pojawił się latający dysk.

Sloan twierdzi, że obiekt ten widział zarówno on, jak i instruktor pilotażu Grady Warren oraz inni piloci, między innymi Nolan Lovelace i Ray Shafer. Sloan sporządził następującą notatkę:

„Gdy po raz pierwszy około godziny dziesiątej ujrzeliśmy ten obiekt, wydawał nam się podobny do pióra, ponieważ poruszał się ruchem wahadłowym. Następnie, gdy stwierdziliśmy, że porusza się on z dużą prędkością, doszliśmy do wniosku, że to latający dysk. Przypuszczamy, że poruszał się on z prędkością od 200 do 600 mil na godzinę. Obiekt ten przyleciał nad lotnisko z południowego zachodu i skierował się na północny zachód, a w zasięgu naszego wzroku pozostawał przez około dziesięć sekund”.

Oczywiście, można by podejrzewać, że Sloan wymyślił tę historię, by zrobić reklamę swemu lotnisku, ale jak się później okazało, także wielu innych świadków bądź słyszało, bądź też widziało na niebie nad Roswell coś niezwykłego w tym samym czasie, kiedy wylądował tam ciągle nie zidentyfikowany obiekt latający.

Być może przyczyną domniemanej katastrofy UFO była panująca wówczas pogoda. Nad Nowym Meksykiem, około 75 mil od miejsca zdarzenia, szalała wtedy jedna z najgorszych i najdłużej trwających burz z wieloma wylądowaniami elektrycznymi. W przeszłości zdarzało się, że takie wylądowania niszczyły samoloty.

Fragmentaryczna informacja, na której podstawie porucznik Haut napisał pierwszy komunikat dla prasy, nie zawierała tych szczegółów, które wielu świadków (farmerów, żołnierzy, inżynierów i studentów archeologii) zaobserwowano z dwu różnych miejsc w tej okolicy, a które najprawdopodobniej miały związek z tym samym wydarzeniem.

Świadkowie mówili o wielkim dysku i humanoidalnych istotach o bladej cerze, wzroście około pięciu stóp, ubranych w coś w rodzaju jednoczęściowych kombinezonów. Notatka Hauta nie zawierała informacji o wielkiej liczbie niezwykłych szczątków i odłamków, głównie metalowych, najwyraźniej pochodzących z tego samego obiektu, a przez majora Marcela opisanych jako „coś, co nie było zrobione na Ziemi”. Prasa nie otrzymała też żadnej informacji o późniejszych zeznaniach świadków, którzy opowiadali o równych kolumnach znaków przypominających hieroglify, które to kolumny umieszczone były na drewnopodobnym (nie na drewnie) tworzywie oraz o równie

niezwykłych zapisach na pulpitych kontrolnych.

Jest teraz jasne, że porucznik Haut wkrótce zaczął żałować, że udzielił informacji na temat nie zidentyfikowanego obiektu latającego. Niemal natychmiast zarządzono w Roswell blokadę informacji, miejscowe władze i Pentagon decydowały jaki będzie następny ruch.

Kilka godzin później nagle udzielono następnych informacji. Teraz twierdzono, że znaleziony obiekt był balonem meteorologicznym. Większość dzienników wydrukowała tę nową informację. Chwalebnym wyjątkiem okazał się tylko waszyngtoński *Post*, który nazwał ją „zaciemnieniem informacji”.

W tym czasie powiadomiono generała Rogera M. Rameya, dowódcę 8. Dystryktu Air Force w Fort Worth, że szczątki obiektu znajdują się w Roswell Air Base (przemianowanej teraz na Walker Air Force Base). Generał Ramey natychmiast zatelefonował do pułkownika Blancharda dając wyraz swojemu niezadowoleniu. Wyrazy niezadowolenia przekazał Blanchardowi również generał Vandenburg, oburzony faktem udzielenia prasie informacji o tym zdarzeniu. Ramey wydał rozkaz, by pozostające jeszcze w Roswell szczątki rozbitego pojazdu znalazły się na pokładzie samolotu B-29. Mając na karku dwóch generałów pułkownik Blanchard nie tracił czasu i rozkazał majorowi Marcelowi osobiście polecieć z rym „ładunkiem” do Carswell Air Force Base – głównej kwatery generała w Fort Worth w stanie Teksas, gdzie szczątki miały być zbadane przed wysłaniem ich do Wright-Patterson Field w Dayton (stan Ohio). Tam obiekt miał być poddany dalszej analizie, zarządzanej osobiście przez generała Vandenburga.

Wtedy właśnie Ramey, korzystając ze stacji radiowej w Fort Worth, nerwowo zapewniał słuchaczy, że rozbity „latający spodek” w rzeczywistości nie jest niczym innym, jak tylko balonem meteorologicznym. „Armia nie ma takich gadżetów jak latające dyski – powiedział ponuro i szybko dodał – przynajmniej na obecnym poziomie”.

Po wystąpieniu radiowym, odpowiadając na pytania powątpiewających reporterów, którzy pragnęli dowiedzieć się, gdzie obecnie znajdują się szczątki „balonu meteorologicznego”, Ramey warknął z irytacją: „w moim biurze, i z pewnością tam zostaną”. A potem raz jeszcze powtórzył reporterom to, co wcześniej powiedział w radiu:

„Specjalny lot do Wright Field został odwołany, panowie. Cała ta sprawa była bardzo niefortunna, ale w atmosferze podniecenia, która ostatnio panowała wokół tzw. latających spodków, nie dziwi. Chodźmy teraz do domów i dzwoniemy się wieczorem”.

Choć kilku dziennikarzy podejrzewało, że Ramey ukrywa prawdę, to jednak nie mieli na to żadnego dowodu. Pewien interesujący komentarz do tego zdarzenia pojawił się w wywiadzie, jakiego 9 września 1979 roku udzielił były adiutant generała Rameya pułkownik Thomas Jefferson DuBose. Mówiąc o zdarzeniach sprzed trzydziestu dwóch lat stwierdził, iż „był wtedy świadkiem nadejścia z samej góry rozkazu przetransportowania ładunku z Roswell do Wright Field specjalnym samolotem”. Dodał, że „generał (Ramey) był osobiście całkowicie odpowiedzialny za wykonanie tego rozkazu, a pozostali oficerowie i inni ludzie związani z tą sprawą wypełniali polecenia”. Opowieść o balonie meteorologicznym była, jego zdaniem, sfabrykowana po to, by „ugasić pożar”. Adiutant generała nie pamiętał, kto wpadł na ten pomysł, ale sądził, że mógł to być sam Ramey.

Na jednym z zachowanych zdjęć pułkownik (obecnie generał) DuBose pozuje reporterom, prezentując rozłożone na podłodze w biurze Rameya resztki prawdziwego balonu meteorologicznego. Zaledwie dziewięć miesięcy później, w maju 1948 roku, DuBose został szefem personelu 8. Air Force w Fort Worth.

Ewidentnym przykładem tego, jak rozkaz może wpłynąć na treść sporządzanych raportów, nawet jeśli mogłyby one być sprzeczne z wcześniejszymi oświadczeniami, jest przypadek Irvinga Newtona.

Newton w czasie gdy wydarzył się incydent w Roswell pracował w Biurze Badań Meteorologicznych i Obsługi Lotów w bazie lotniczej Carswell-Fort Worth w Teksasie. Jak wspomina, 7 lipca nie słyszał on nic o zdarzeniu w Roswell, ale gdy nocą 8 lipca pełnił dyżur w biurze meteo zadzwonił telefon. Generał Ramey rozkazał Newtonowi, by ten zameldował się natychmiast w jego biurze. Newton, mimo wyczuwalnego w głosie generała ponaglącego tonu, zdobył się na odwagę, by poinformować, że jest sam w biurze meteo i że jest odpowiedzialny za kontrolę lotów, w związku z czym nie może opuścić stanowiska. Na ten nieśmiało wyrażony sprzeciw generał

odpowiedział: „Masz tu być w dziesięć minut, weź pierwszy z brzegu samochód, to mój rozkaz!”

Kiedy Newton dotarł do biura generała Rameya, jakiś pułkownik poinformował go, że w Roswell znaleziono pewien obiekt i że generał zdecydował, iż jest to balon meteorologiczny, a Newtona sprowadzono po to, by tak właśnie rzecz tę zidentyfikował. Po wysłuchaniu tej instrukcji Newton wprowadzony został do pokoju pełnego dziennikarzy i fotoreporterów, gdzie wręczono mu kilka kawałków czegoś, co natychmiast rozpoznał jako materiał, z którego buduje się balony typu *Rawin*.

Na brązowym papierze, który rozłożono na podłodze, leżało kilka kawałków tego materiału. Podczas dokonywania oceny prezentowanego materiału wykonano kilka zdjęć.

W wywiadzie udzielonym w lipcu 1979 roku Newton powiedział:

Te kawałki były pocięte i suche. Widziałem już tysiące balonów i nie miałem wątpliwości, że to co pokazano mi wtedy, to były części balonu meteorologicznego. Później powiedziano mi, że major z Roswell określił ten materiał jako szczątki latającego spodka, ale generał od początku nie dowierzał tej opinii i właśnie dlatego ja zostałem tam wtedy wezwany.

Czy ludzie z Roswell sami nie potrafiliby rozpoznać balonu?

Z pewnością powinni umieć to zrobić. Była to typowa sonda Rawina. Na pewno widzieli już tysiące takich balonów.

Co stało się później, gdy już rozpoznał pan ten przedmiot?

Gdy zidentyfikowałem go jako balon, zostałem zwolniony.

Czy może pan opisać tę tkaninę? Czy łatwo można było ją rozerwać?

Oczywiście. Należało postępować z nią niezwykle ostrożnie, była bardzo krucha.

W tym miejscu warto zauważyć, że zarówno major Marcel, jak i inni twierdzili, że znaleziony przez nich metaliczny materiał był tak mocny, że nie dawało się go rozerwać. Wydawało się więc oczywiste, że szczątki znalezione w Roswell nie były szczątkami balonu meteorologicznego.

W pierwszych komunikatach prasowych mówiących o tym, że w Roswell znaleziono szczątki balonu meteorologicznego, można zauważyć także inny błąd popełniony przez biuro Rameya. W tym miejscu trzeba wspomnieć, że w roku 1947 używano dwóch różnych typów przyrządów Rawina: tarczy Rawina oznaczonej symbolem ML-306 i sondy Rawina noszącej symbol AN/AMT-4. Jak było wiadomo zarówno Newtonowi, jak i z całą pewnością także innym kompetentnym oficerom z biura meteorologicznego, tylko jeden z owych przyrządów, a mianowicie tarcza Rawina, zawierał w swej części konstrukcyjnej metalową folię. Sonda Rawina jedynie wewnątrz umieszczonego w niej nadajnika radiowego zawierała 100-200 gramów neoprenu. Informacje przekazane z biura Rameya zanim Newton dokonał identyfikacji (zauważmy, że na wykonanej wtedy fotografii Ramey trzyma w dłoni ten dokument) wydają się lekceważyć ten istotny fakt i określają obiekt jako „szczątki sondy Rawina”. Ten błąd, który najwyraźniej nie został przez dziennikarzy zauważony, skorygowano w następnych komunikatach.

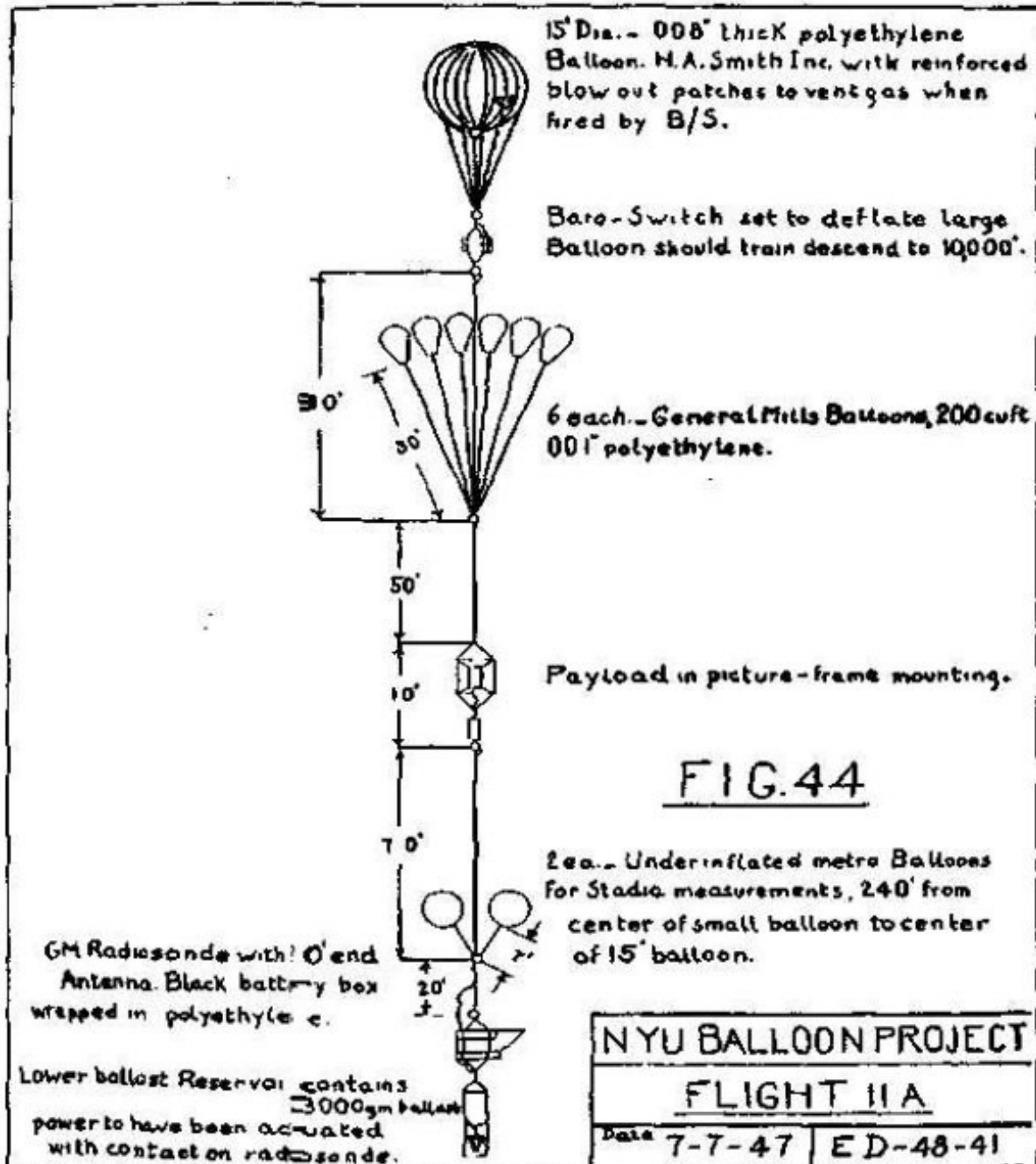
Pomysł z balonem został być może zainspirowany wydarzeniem, które miało miejsce zaledwie trzy dni wcześniej na farmie Circleville, Pickway County (stan Ohio). 5 lipca 1947 roku farmer Sherman Campbell znalazł na swoim polu papierowe i foliowe szczątki prawdziwej tarczy Rawina, które wojsko zidentyfikowało bez problemu, nie widząc konieczności wysłania ich do „jednostki nadrzędnej” w celu przeprowadzenia jakichś dokładniejszych badań. Drugi, taki sam materiał, który 8 lipca spostrzegł David C. Heffner zidentyfikowano równie szybko i łatwo. Żaden z tych przedmiotów nie wydawał się nieznanymi, trudnymi do rozpoznania.

Ważnych informacji o konstrukcji i przeznaczeniu sond meteorologicznych i balonów używanych do badań naukowych w późnych latach czterdziestych dostarczyła seria wywiadów udzielonych przez C. B. Moore'a, fizyka z New Mexico Institute of Mining and Technology w Socorro, specjalizującego się w aerodynamice. Latem 1947 roku Moore uczestniczył w sponsorowanych przez New York University badaniach balonów wysokościowych, przeprowadzanych w północnych rejonach White Sands, niedaleko Alamogordo w stanie Nowy Meksyk, zaś zimą tego samego roku uczestniczył w umieszczeniu w górnych warstwach atmosfery pierwszej sondy badawczej *Skyhook*, która wystartowała z Camp Ripley niedaleko Minneapolis (stan Minnesota) pod auspicjami generała Millsa.

Oto, co powiedział Moore:

Skyhook zaprojektowany został z myślą o prowadzeniu przez naukowców badań i pomiarów w górnych warstwach atmosfery.

Jednak później zdecydowano, że w tym celu wykorzystane zostaną urządzenia automatyczne. Już od samego początku program ten był utajniony i wszelkie informacje na jego temat podlegały ścisłej kontroli. Pierwszy balon zbudowano z chlorku winylu i napompowano w New Brighton (stan Minnesota) latem 1947 roku, ale mimo to nie wystartował on przez następnym sześć miesięcy. W roku 1948 chlorek winylu zastąpiono polietylenem i właśnie jego używano do końca badań. Każdy z tych balonów mógł unieść ładunek o wadze 70 funtów. Kilka z nich wystartowało z Nowego Meksyku, ale z całą pewnością ani jeden nie uniósł się w atmosferę w roku 1947.



Rysunek balonu meteorologicznego, przeznaczonego do badania warstw atmosfery. Balony tego typu były wypuszczane z Bazy Lotniczej w Almagordo w Nowym Meksyku w lipcu 1947 roku, kiedy doszło do katastrofy spodka. Przedstawiony rysunek dotyczy lotu balonu 11-A, który został wypuszczony 7 lipca 1947 roku. Chociaż lecące balony bywały często mylone z nie zidentyfikowanymi obiektami latającymi, to trudno sobie wyobrazić, jak można byłoby wziąć za UFO taki balon, który znajdował się na ziemi. (C. B. Moore)

Zapytany, czy przedmioty z Roswell mogły być częściami sondy meteorologicznej lub balonu używanego do badań naukowych, Moore zapoznawszy się z dostarczonym mu opisem zdecydowanie zaprzeczył takiej interpretacji:

„Żaden balon będący w użyciu zarówno w roku 1947, jak i później nie spustoszyłby tak dużego obszaru ani nie zrobiłby dziur w ziemi. Nie mam pojęcia, czym mógł być ten obiekt, ale żaden ze znanych mi balonów meteorologicznych nie odpowiada temu opisowi”.

Przytoczony przez Moore'a opis tarczy Rawina, która była mu dobrze znana i którą posługiwał się wielokrotnie, ważny jest także i dlatego, że wyklucza możliwość wzięcia „kruchej folii i drewna balsy” za coś niezwykłego.

Jest jednak coś, co zmusza do akceptacji przyjętej przez dowództwo taktyki zmniejszania zainteresowania społeczeństwa tym wydarzeniem. Gdyby zarządzono całkowitą blokadę informacji, wzrosłoby zainteresowanie tym wydarzeniem, podczas gdy błąd w identyfikacji materiału, popełniony choćby przez Air Force, wywołał życzliwe zrozumienie, a co ważniejsze pozbawił incydent tajemniczości w sposób, który można by porównać do wypuszczenia powietrza z balonu.

Po takim posunięciu 9 lipca w prasie pojawiły się artykuły dementujące poprzednie doniesienia: *Morning News!* (Dallas):

Rzekome „spodki” to tylko przyrządy meteorologiczne.

The Daily Times Herald (Dallas):

Wojsko próbuje położyć kres plotkom o dyskach.

Artykuł zawierał między innymi następujące zdanie:

„Ci, którzy myśleli, że mają już w rękach 3000 dolarów oferowanych za prawdziwy latający talerz, spostrzegli, że mają... figę z makiem”.

Daily Record (Roswell):

Generał Ramey opróżnia roswellowski talerz!

Ośmiostronicowy artykuł opatrzone był dodatkowym podtytułem:

„Generał Ramey twierdzi, że rzekomy dysk to balon meteorologiczny”.

W tym samym wydaniu znajdujemy artykuł o farmerze Williamie Brazelu, który zaalarmował biuro szeryfa w Roswell informując o niezwykłym wraku, jaki spadł na jego pole po powietrznej eksplozji. Artykuł ten nosił tytuł: „Przerażony farmer, który zlokalizował spodek przeprasza za to, co mówi”. Brazel, który musiał zadać sobie wiele trudu (na co wskazuje tekst), by powiedzieć gazecie dokładnie to, co podyktowało mu Air Force (jak odkrył rozbity statek i jak on wyglądał) na końcu swojej wypowiedzi wykazał jednak odrobinę odwagi, pozwalając sobie na wygłoszenie opinii, że mimo to, co powiedział wcześniej, uważa, że nie był to balon meteorologiczny. Brazel był obeznany z takimi balonami, bo w przeszłości często je obserwował. Powiedział więc:

„Jestem pewien, że to co znalazłem nie było balonem obserwacyjnym... A jeśli znajdę cokolwiek innego niż bomba, oni zawsze nakażą mi milczenie”.

Choć w prasie ukazującej się w Roswell bardzo sumiennie, na pierwszych stronach, wydrukowano „balonową” historyjkę generała Rameya, to z artykułów zamieszczonych na wewnętrznych stronach gazet wynikało jasno, iż dziennikarze odnieśli wrażenie, że odpowiedzi Brazela na zadawane mu pytania były przygotowane przez Air Force. *Record* opublikował ostrożny komentarz redakcyjny:

(...) Czym jest ten dysk to zupełnie inna sprawa. Wojsko nie ujawnia swoich sekretów. Może to szczęśliwy przypadek, a może nie (...). Wszystkie przypuszczenia mają dziś tę samą wartość. Może ta sprawa jest nabieraniem ludzi (...). Ale coś zostało znalezione.

Ukazująca się w San Francisco *Chronicle* dodała żartobliwy komentarz: „Tajemnicze latające dyski, osiągające prędkość 1200 mil na godzinę widziano w całym kraju, z wyjątkiem stanu Kansas, który jest... wysuszony”. Od roku 1947 media często w ten sposób komentowały doniesienia o nie

zidentyfikowanych obiektach latających, sprowadzając te obserwacje do wizji wywołanych nadużywaniem alkoholu.

W czasie, gdy dziennikarze próbowali skontaktować się z pułkownikiem Blanchardem, pułkownik nieoczekiwanie wyjechał na urlop. Udał się na wypoczynek dokładnie wtedy, gdy major Marcel ze szczątkami wraku leciał do Carswell. Dowodzenie bazą czasowo powierzono zastępcy komendanta, podpułkownikowi Payne Jenningsowi. Dziennikarzy nalegających na spotkanie z Blanchardem poinformowano, że „przebywa on na urlopie i właśnie dlatego nie udzieli żadnego wywiadu”.

Choć nie ma wątpliwości, że pułkownik Blanchard postąpiłby zgodnie z rozkazami generała Rameya, miał on przecież wystarczające kwalifikacje, by wiedzieć, że ma do czynienia z czymś zupełnie innym niż szczątki balonu meteorologicznego. Blanchard, któremu później przypięto aż trzy gwiazdki na generalskie naramienniki, w roku 1947 cieszył się sławą bohatera minionej wojny, wielokrotnie nagradzanego najwyższymi odznaczeniami za znakomite wojenne zwycięstwa, które odniósł nad Pacyfikiem jako dowódca dywizjonu bombowego i później – jako oficer operacyjny 20. Armii Air Force. Tylko nieliczni wiedzieli, że niewiele brakowało, by właśnie Blanchard został wybrany do zrzucenia na Japonię w 1945 roku pierwszych amerykańskich bomb atomowych. W tej „rywalizacji” wyprzedziło go tylko dwóch pilotów (i to oni zrzucili bomby).

Generał Blanchard już nie żyje, ale wdowa po nim przyznała ostatnio (w wywiadzie udzielonym Stantonowi Friedmanowi), że jej mąż wiedział iż szczątki wraku, które wysłał do Carswell nie były częściami balonu. „On wiedział, że nie był to nasz (ziemski) produkt – powiedziała, dodając zaraz – w pierwszej chwili myślał, że rzecz ta mogła pochodzić z Rosji, ale później utwierdził się w przekonaniu, iż nie wyprodukowali tego Rosjanie”.

W tym czasie dowódca podlegającego Rameyowi dywizjonu A-2, pułkownik Alfred E. Kalberer uczestniczył w spotkaniach z kilkoma organizacjami społecznymi w okręgu Forth Worth. Spotkania te były pomyślane jako próba położenia kresu hysterii wokół latających dysków.

10 lipca, zgodnie z raportem Forth Worth Army Air Base (który został opatrzony klauzulą „tajne”) „pułkownik Irvine, zastępca szefa personelu HQ Strategie Air Command (SAC) przybył do generała Rameya z poufną misją, podczas której prawdopodobnie omawiano temat rozbitego dysku”.

Porucznik Louis Bohanon kierujący trzecią sekcją roswellowskiego laboratorium fotograficznego, do którego obowiązków należało fotografowanie rozbitych samolotów, opuścił bazę mniej więcej dwa tygodnie po zdarzeniu. Wydaje się, że jego grupa byłaby wezwana do sfotografowania każdego niezwykłego wypadku w tej okolicy. Nie ma jednak ani jednej odbitki jakiegokolwiek fotografii. Porucznik Bohanon, specjalnym rozkazem nr 139 z dnia 18 lipca, został przeniesiony do Hamilton Field w Kalifornii.

Jenningsa, któremu powierzono czasowe dowodzenie bazą po wyjeździe pułkownika Blancharda, osiągnął daleko cięższy los. Wkrótce po wydarzeniu w Roswell, podczas podróży do Anglii, gdzie udał się ze specjalnym zadaniem, jego samolot zniknął nad Trójkątem Bermudzkim, nie wysławszy nawet ostatniego sygnału. Nigdy nie natrafiono ani na żaden ślad tego samolotu, ani na choćby jednego rozbitka. (Samolotem tym miał lecieć major Marcel, ale na swoje szczęście został zwolniony z tego obowiązku na skutek osobistej interwencji pułkownika Blancharda.)

Mimo skąpych informacji pierwsze doniesienia o wylądowaniu latającego dysku były szeroko rozpowszechniane także przez inne stacje radiowe w Roswell, nie tylko przez KSWS. Major Hughie Green, lotnik brytyjskiego RAF, podróżując latem 1947 roku z Kalifornii do Filadelfii przejeżdżał przez Nowy Meksyk. Pamięta dokładnie, co słyszał wtedy w radiu:

Gdy przejeżdżałem z zachodu na wschód przez Nowy Meksyk, usłyszałem doniesienie lokalnej stacji radiowej o lądującym spodku. Poszukałem na skali mojego odbiornika innych stacji, bo tymi informacjami byłem szczególnie zainteresowany. Byłem lotnikiem RAF i pamiętałem z czasów wojny opowieści o „gwiazdnych myśliwcach” – latających spodkach tamtych dni. Stacje radiowe były tak podekscytowane, że przerwały nadawanie swych stałych programów, by podawać najnowsze wiadomości. Jestem pewien, że jedna z tych stacji informowała, iż szeryf i jego ludzie udali się na miejsce zdarzenia. Usłyszałem wiele doniesień na ten temat i, o ile sobie przypominam, sporo informacji przyniosła także prasa. Jednak kiedy dojechałem do Filadelfii stwierdziłem, że ani tamtejsze gazety, ani stacje radiowe nie podały żadnych wiadomości o wydarzeniu w Roswell. Pytałem o to zaprzyjaźnionych dziennikarzy.

Wiedzieli o tym wydarzeniu, ale słyszeli też, że było ono zatuszowane.

Utrzymanie w tajemnicy tego wydarzenia, tej legendy (jeśli to wydarzenie jest legendą), która przetrwała do dnia dzisiejszego, okazało się niemożliwe. Należało się spodziewać, że tak szybko jak tylko będzie można, pojawi się jakaś książka na ten temat. Książkę taką – *Behind the Flying Saucers* (Holt, 1950) – napisał Frank Scully na podstawie oryginalnego meldunku o katastrofie spodka i domniemanym przejęciu przez armię amerykańską szczątków pojazdu i znalezionych w nim ciał załogi. Niestety, widoczne jest, że autor – być może z powodu pośpiechu i chęci ukończenia książki jak najszybciej, póki temat był jeszcze gorący – rzucił się na głęboką wodę bez wystarczającego przygotowania. Książka Scully'ego, choć odniosła sukces rynkowy, zawierała wiele nieścisłości i z powodu błędów faktograficznych została skompromitowana przez Air Force. Autor nie podawał żadnych nazwisk, błędnie podał miejsce wypadku, lokując zdarzenie niedaleko Aztec w północno-zachodniej części stanu, a więc setki mil od Roswell. Ten ewidentny błąd powtarzany jest później także w innych książkach poświęconych UFO, które ukazały się na całym świecie.

Pomimo błędów, jakie dostrzeżono w książce, pani Scully – wdowa po pisarzu, w wywiadach, jakich udzieliła w czerwcu i grudniu 1979 roku Billowi Moore'owi uparcie twierdziła, że podstawowe informacje podane przez jej męża były prawdziwe, że właśnie dlatego był on krytykowany przez J. F. Cahn, „najbardziej niegodziwego, zdolnego nawet do uknuć spisku, dziennikarza z San Francisco”, który jej męża po prostu oczerniał. To prawda, że poświęcony Scully'emu i jego książce artykuł Cahn jest pełen przesady i niedokładności. Niestety, inni dziennikarze, którzy podążyli śladem interpretacji Cahn nie zadali sobie trudu sprawdzenia wszystkich informacji.

Druzgocącą recenzję książki Scully'ego Cahn opublikował blisko dwa lata po jej ukazaniu się. Podstawę tak ostrej krytyki stanowiło to, że dwóch informatorów pisarza było niegodziwymi oszustami, pozbawionymi skrupułów. Ten właśnie zarzut i poszerzające listę wątpliwości błędnie cytowane przez Rolanda Gelatta na łamach *Saturday Review* fragmenty książki Scully'ego oraz krytyka, jakiej poddano we wszystkich recenzjach metodę badawczą zastosowaną przez pisarza spowodowały, że inni autorzy i dziennikarze uznali całą rzecz za monstrialny żart, a Scully'ego – za jego nieszczęsną ofiarę. Warto jednak zauważyć, że wszystkim, którzy umniejszali znaczenie książki Scully'ego bardzo odpowiadało zarówno to, iż Gelatt błędnie cytował jej fragmenty, jak i to, że Cahn uznał, iż niewłaściwe określenie przez autora miejsca zdarzenia automatycznie przeczy istnieniu spodka.

Choć recenzenci potępiali Scully'ego za nierzetelne udokumentowanie przedstawionych faktów, to żaden z nich – nie wyłączając Cahn – nie wykazał najmniejszej ochoty, by samemu cokolwiek sprawdzić. Cahn ograniczył się wyłącznie do zbadania środowiska i wiarygodności dwóch spośród informatorów Scully'ego. Ci informatorzy okazali się niewiarygodni i z tego powodu reputacja Scully'ego ucierpiała najbardziej.

Wiele wskazuje na to, że w innych kręgach – szczególnie w kręgach wojskowych – książkę Scully'ego potraktowano z większą powagą. Jak twierdzi wdowa po pisarzu, pod koniec roku 1953 pewien szczególnie komentarz zaprezentował jej i mężowi kierujący wówczas przedsięwzięciem nazwanym *Project Blue Book* kapitan Edward Ruppelt, który właśnie wtedy przeszedł na emeryturę. *Project Blue Book* („Projekt Błękitnej Księgi”) był podjętą przez Air Force trzecią publiczną próbą uporania się z zalewającą kraj od roku 1947 falą doniesień o nie zidentyfikowanych obiektach latających. „W najgłębszym zaufaniu” Ruppelt powiedział Scully'emu:

„Ze wszystkich książek poświęconych latającym spodkom pańska sprawiła nam najwięcej kłopotów, ponieważ była najbliższa prawdy”.

Pani Scully twierdziła, że jej mąż wszystkie informacje otrzymał od pewnego pracującego dla rządu naukowca, z którym się zaprzyjaźnił. Powiedziała też, że od wielu lat nie miała żadnych wiadomości o tym człowieku i teraz nie wie nawet, czy on jeszcze żyje. Mimo gwarancji całkowitej dyskrecji odmówiła jednak ujawnienia nazwiska tej osoby. Przyznała jednak, że człowiek ten przed blisko trzydziestu laty powiedział jej mężowi, że ciała znalezione we wrakach pojazdów przewieziono do Rosenwald Institute w Chicago, gdzie miano poddać je badaniom.

Reasumując, można powiedzieć, że książka Scully'ego dała Air Force doskonały pretekst do

zaszeregowania całej sprawy do kategorii pozbawionej realnych przesłanek legendy lub – jeszcze chętniej – dziwaczного tworu wyobraźni. Fakt, że książka Scully'ego nie przyniosła niezbitych dowodów, mógł też powstrzymać innych autorów od zajmowania się tym tematem. Można by pomyśleć, że władze zainteresowane utrzymaniem wszystkiego w tajemnicy same zainspirowały publikację tej książki, by potem posłużyć się nią w celu zdyskredytowania wszystkich początkowych doniesień. Takie metody zwane „szarą propagandą” stosuje się w psychologicznych grach wojennych: sprawia się wrażenie, iż przeciwnik ma przewagę, ale na końcu całkowicie się go kompromituje.

Niemal w tym samym czasie Fletcher Pratt, pisarz i uznany historyk wojskowy, zainicjował w prasie wielką kampanię oświadczając na początku roku 1950, że „poufnym kanałem” dotarła do niego informacja o jakimś latającym spodku, który rozbił się na ziemi i w którego wraku znaleziono ciała o wyglądzie zbliżonym do wyglądu ludzi i wzroście około 90 cm. Oczywiście, także i tę wiadomość oficjalne kręgi dementowały z typową gwałtownością, ale przecież Fletcher Pratt – szanowany historyk wojskowości – podchodziłby z dystansem do sensacyjnych informacji pochodzących z niewiarygodnego źródła. Ze względu na bezpieczeństwo wojskowe Pratt, mimo przekonania o wiarygodności swego źródła, mógł dać się przekonać do zaniechania dalszych badań.

W każdym wypadku poruszenie wywołane rzekomym przejęciem jakiegoś nie zidentyfikowanego obiektu latającego okazuje się poddane ciągłej kontroli Air Force. Wszystkie doniesienia o nie zidentyfikowanych obiektach latających trafiły w końcu do tzw. *Condon Report* (na podstawie umowy zawartej przez Air Force i University of Colorado), według którego tylko dziesięć procent opisywanych zjawisk nie da się logicznie wytłumaczyć (choć bardziej dokładna analiza pozwala sądzić, że rzeczywista liczba nie dających się wytłumaczyć pojawień nie zidentyfikowanych obiektów stanowi około trzydzieści procent). Posługując się tą analizą zdecydowano, że z powodu ogromnego wysiłku, jaki wkładają Air Force w te badania i z powodu dużych kosztów tych badań z jednej strony i niewielkich efektów z drugiej, nie należy badań kontynuować 17 grudnia 1969 roku unieważniono *Blue Book* (*Błękitną Księgę*), a Air Force po dwudziestu latach wyraźnie przestała interesować się fenomenem nie zidentyfikowanych obiektów latających.

Pewnym interesującym aspektem badań prowadzonych przez Air Force w okresie istnienia *Blue Book* była instrukcja nr 200-2 wydana w sierpniu 1953 roku, a zawierająca przeznaczone dla personelu Air Force szczegółowe wskazówki, jak stawić czoło nie zidentyfikowanym obiektom latającym. Instrukcja zawierała też wiele szablonów i diagramów, umożliwiających obserwatorowi tych obiektów sporządzenie i dostarczenie ich opisów.

Wśród wytycznych w sprawie obserwacji nie zidentyfikowanych obiektów (których istnieniu oficjalnie zaprzeczano, choć jednocześnie instruowano, jak należy postępować w wypadku spotkania istot i urządzeń pozaziemskich) znalazło się kilka szczególnych dyrektyw adresowanych do dowódców baz. Dyrektywy te dotyczyły podawania informacji o UFO do publicznej wiadomości.

Oto, co mówi na ten temat instrukcja 200-2 w paragrafie dziewiątym:

W czasie udzielania odpowiedzi na stawiane na miejscu pytania dopuszcza się informowanie przedstawicieli mediów o UFO wtedy, gdy obiekt zidentyfikowany jest jako znany. Mówiąc o obiektach, których pochodzenia nie da się wytłumaczyć należy podawać jedynie taką informację, że ATIC (Air Technical Intelligence Command – Dowództwo Lotniczego Wywiadu Technicznego) będzie analizować dane...

Kto wie, czy wrzawa wokół wydarzenia w Roswell, której odgłosy są jeszcze ciągle słyszalne, rozległaby się, gdyby major Marcel, porucznik Haut i komendant Roswell Base pułkownik Blanchard postępowali zgodnie z tą instrukcją...

Od roku 1947 tysiące ludzi na całym świecie obserwowały nie zidentyfikowane obiekty latające. Obarczano je odpowiedzialnością za zaginięcia statków i samolotów w Trójkącie Bermudzkim, podejrzewano i obwiniano o uprowadzanie ludzi i poddawanie ich eksperymentom psychicznym, o zakłócenia w komunikacji i systemie energetycznym, o uczestnictwo w konfliktach zbrojnych w wielu krajach. Właśnie dlatego szczególnie godne zapamiętania jest to, że katastrofa UFO w Nowym Meksyku, którą zakończyła się jedna z najbardziej niezwykłych wizyt, miała miejsce nie

dalej niż sto mil od pewnej bazy wojsk lotniczych.

Ponieważ w roku 1947 nie było jeszcze ograniczeń cenzorskich dyktowanych wymogami bezpieczeństwa, wieści o tym zdarzeniu, zanim później zostały zatuszowane, rozeszły się szeroko. Podobnie jak wiele innych legend i ta wydaje się być szczególnie żywotna. Analizowano ją wielokrotnie, czasem – jak przeczytamy na następnych stronach – czyniono to na osobiste życzenie prezydenta. Ponadto, zarówno naoczni świadkowie tego wydarzenia, jak i ci, którzy pierwsi słyszeli ich relacje żyją i dokładnie pamiętają wiele szczegółów. Porównanie ich wspomnień wskazuje na zgodność różnych wątków w pierwszych doniesieniach o rozbitym spodku latającym lub o tym, czym ów spodek był naprawdę.

4. RELACJE ŚWIADKÓW – MIASTO PAMIĘTA

Barney Barnett, mieszkaniec Socorro (stan Nowy Meksyk), cywilny inżynier pracujący dla rządu federalnego w dziedzinie ochrony gruntów, był jednym z pierwszych świadków. Przybył na miejsce upadku spodka rankiem 3 lipca 1947 roku.

Gdy Barney i jego żona Ruth mieszkali w Nowym Meksyku, przyjaźnili się z L. V. „Vernem” Maltaisem i jego żoną Jean Swedmark Maltais. Vern był w tym czasie odkomenderowany do służby wojskowej w Nowym Meksyku.

W lutym 1950 roku, podczas wizyty państwa Maltais w Socorro, Barnett opowiedział swym przyjaciołom niezwykłą historię, prosząc, by jej nikomu nie powtarzali. Barnett twierdził, że był świadkiem katastrofy latającego spodka w okolicy Socorro i że widział zarówno ów pojazd, jak i ciała, które nie były zwłokami istot ludzkich. Następnie – twierdził – okolica, w której miało miejsce zdarzenie została szybko otoczona przez wojsko, a szczątki pojazdu i ciała wywiezione.

Choć od chwili, gdy Barnett opowiadał o tym wydarzeniu minęły trzy dziesięciolecia, państwo Maltais pamiętają wszystko bardzo dokładnie, także dlatego że w tym czasie w Nowym Meksyku pojawiło się wiele innych informacji o pojawieniu się UFO. Oboje państwo Maltais wyrażają się z najwyższym uznaniem o Barneyu Barnetcie. Był od nich starszy, bardzo konserwatywny i raczej pewny siebie. Z pewnością nie był typem człowieka rozsiewającego wzięte z powietrza plotki. Państwo Maltais pamiętają, iż Barnett twierdził z całym przekonaniem, że widział wrak latającego spodka leżący na ziemi.

Oto opowieść Barnetta odtworzona przez państwa Maltais w wywiadzie, jakiego udzielili Moore'owi w styczniu, lutym i sierpniu 1979 roku:

Pracowałem nieopodal miejscowości Magdalena, gdy pewnego ranka światło bijące z jakiegoś dużego metalowego obiektu przyciągnęło – wzrok. Pomyślałem, że prawdopodobnie w nocy rozbił się jakiś samolot. Poszedłem w kierunku, z którego dochodziło to światło – milę, może nieco ponad milę po płaskiej pustynnej ziemi. Gdy tam doszedłem, zrozumiałem, że nie był to żaden samolot, lecz jakiś duży metaliczny obiekt w kształcie tarczy o średnicy dwudziestu pięciu – trzydziestu stóp. Kiedy mu się przyglądałem próbując zgadnąć, co to jest, nadeszło kilkoro innych ludzi, którzy także zaczęli oglądać ten przedmiot ze wszystkich stron. Powiedzieli mi później, że należeli do zespołu archeologicznego którejs uczelni na wschodzie Stanów (University of Pennsylvania), i w pierwszej chwili także przypuszczali, że jakiś samolot uległ tu katastrofie.

Oglądali wrak ze wszystkich stron. Zauważyłem też, że przyglądali się kilku martwym istotom leżącym na ziemi. Sądzę, że ciała innych istot były wewnątrz maszyny, która swym kształtem przypominała metalowy dysk lub tarczę. Pojazd nie był duży. Wydawał się zrobiony z metalu, który wyglądał jak brudna stal nierdzewna. Na skutek eksplozji lub uderzenia maszyna była rozbita. Próbowałem podejść bliżej, by zobaczyć, jak wyglądały te istoty. Wszystkie były martwe. Znajdowały się zarówno w środku, jak i na zewnątrz pojazdu. Były podobne do ludzi, ale nie byli to ludzie. Ich głowy były okrągłe, ale pozbawione włosów, a oczy były bardzo małe. Te oczy miały dziwny kształt. Istoty te nie dorównywały wzrostem przeciętnemu człowiekowi, ale głowy miały nieproporcjonalnie duże. Ich szare ubiory były jednoczęściowe. Nie można było dostrzec żadnych guzików, pasków czy zamków błyskawicznych. Wydawało mi się, że wszyscy są mężczyznami. Było ich tam wielu. Stałem wystarczająco blisko, by ich dotknąć, ale nie zrobiłem tego.

Zanim im się dokładniej przyjrzałem, zostałem odprawiony pod eskortą. Podczas gdy my przyglądaliśmy się tym ciałom, zjawił się jakiś wojskowy, który przyjechał ciężarówką wraz z kierowcą i przejął kontrolę nad tym miejscem. Powiedział wszystkim, że wojsko przejmuje tę okolicę, a my mamy się stąd oddalić. Nakazano nam opuścić teren i z nikim nie rozmawiać o tym, co widzieliśmy. Przekonywano nas, że zachowanie tego wszystkiego w tajemnicy jest naszym patriotycznym

obowiązkiem.

W tym momencie pani Maltais przerwała, by dodać:

Barnett powiedział, że był właśnie w terenie, gdy zobaczył tę rzecz, i że byli tam również inni ludzie. Wydaje mi się, że powiedział, iż ci, z którymi rozmawiał byli archeologami z University of Pennsylvania. Prowadząc badania wykopaliskowe w Nowym Meksyku stali się przypadkowymi świadkami i uczestnikami wydarzeń związanych z katastrofą. Rozbity obiekt przypominał jakieś metalowe urządzenie, zaś ciała znalezionych tam istot były mniejsze od ludzkich. Głowy tych istot były nieproporcjonalnie duże. Przypominam sobie, iż Barnett powiedział, że zakazano mu opowiadania czegokolwiek i on przez kilka lat rzeczywiście nikomu nic nie mówił. Swoimi przeżyciami podzielił się z nami dopiero w roku 1950. Byliśmy bardzo bliskimi przyjaciółmi. Barnett nazwał te istoty „mężczyznami”, opisując je ani razu nie wspominał o kobietach. Tych dziwnych istot było tam bardzo wiele, nie pamiętam jednak, by Barnett powiedział nam, ile ich tam widział. Kilka razy powtarzał, iż ich oczy były małe i miały dziwny kształt. Wrak został wkrótce zabrany z miejsca zdarzenia. Wrzucono go do wielkiej ciężarówki. Każdego, kto był na miejscu proszono o opuszczenie terenu. Dotyczyło to także ludzi z University of Pennsylvania. Wszystkim polecono opuścić teren i zakazano jakichkolwiek rozmów o wraku, przekonując, że opowiadanie o tych zdarzeniach byłoby niepatriotyczne.

Zapytana o to, którą część Nowego Meksyku Barnett wskazał jako miejsce tej katastrofy, pani Maltais odpowiedziała:

„Tego nie pamiętam. Było to gdzieś nie opodal Socorro. On prawdopodobnie dokładnie określił to miejsce, ale ja już sobie tego nie przypominam. Pamiętam, iż powiedział, że była to preria. Z pewnością nie były to góry. Barnett podróżował po całym Meksyku, ale najwięcej pracy miał na zachód od Socorro”.

Ponieważ przedstawiony przez Barneya Barnetta opis tego wydarzenia jest tak dokładny, a jednocześnie tak podobny do innych doniesień, wydaje się słuszne przedstawienie Barnetta i rozważenie, czy miał on skłonności do fantazjowania lub wizjonerstwa.

Grady Landon (Barney) Barnett pracował w tym okręgu jako inżynier dla US Soil Conservation Service przez dwadzieścia lat aż do przejścia na emeryturę w roku 1957. Jako weteran pierwszej wojny światowej i były dowódca American Legion Post w Mosquero był z pewnością typem konserwatywnego, szanowanego obywatela.

Holm Bursum jr, wysoki urzędnik bankowy, były burmistrz Socorro i syn Holma Bursuma sr, byłego senatora Nowego Meksyku, zapytany przez Moore'a w roku 1979 czy znał Barneya, powiedział, iż znał go całkiem dobrze i wyrażał się o nim z uznaniem. Zapytany, czy opowieść Barneya o rozbitym UFO wydaje mu się prawdziwa, Bursum odpowiedział:

„Opowieść taka jak ta mogłaby być wytworem fantazji, ale moim zdaniem, wszystko cokolwiek mówił Barney było prawdą i było zgodne z jego wiedzą”.

Lee Garner, były hodowca bydła, a następnie szeryf Socorro County wspomina Barneya Barnetta zyczliwie. Garner, być może dlatego, że sam interesuje się archeologią, szczególnie dobrze pamięta zespół archeologiczny. Garner początkowo sądził, że była to ekspedycja z Michigan, ale przyznał, że mogli w niej być także studenci z Pensylwanii.

John Greenwald, były pracownik rządu federalnego, a obecnie emerytowany farmer w Socorro County, wspomina, że Barnett początkowo pracował w rejonie położonym na zachód od Socorro. Rejon ten nazywano Plains of San Agustin, powszechnie mówiono o nim „Piaski”. Greenwald był przekonany, że tam właśnie miało miejsce to wydarzenie.

J. F. „Fleck” Danley z Magdaleny w Nowym Meksyku był bardziej dokładny:

Barnett był inżynierem; na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych pracował pod moim kierunkiem nie opodal Magdaleny. Był dobrym człowiekiem... jednym z najbardziej prawdomównych ludzi, jakich kiedykolwiek znałem.

Pytanie Moore'a: Czy Barnett kiedykolwiek mówił coś o latającym spodku?

Tak. Któregoś popołudnia przyszedł do biura bardzo podekscytowany i powiedział: „Wiesz, te latające spodki, o których kiedyś rozmawialiśmy, Fleck... No więc one naprawdę istnieją”. Potem mówił coś o tym, że właśnie widział jeden z takich spodków, aleja byłem naprawdę bardzo zajęty i nie miałem nastroju do wysłuchiwanie takich opowieści, więc odwróciwszy się w jego stronę powiedziałem tylko: „p !”, a on

nie opowiadał o tym już nigdy więcej. Przyszło mi potem do głowy, że może nie powinienem być niegrzeczny, bo nie był on człowiekiem, który wymyśliłby sobie taką historię. Ale kiedy później poruszyłem ten temat powiedział mi tylko, że to co widział na „Piaskach” wyglądało jak spodek i że nie ma zamiaru mówić o tym więcej.

Fleck powiedział, że gdyby miał nieco więcej czasu do namysłu, przypomniałby sobie datę tego zdarzenia.

W następnym wywiadzie przeprowadzonym w jego *living roomie* mniej więcej cztery miesiące po pierwszej rozmowie stwierdził:

„Tak, teraz sobie przypominam. To musiało być na początku lata 1947 roku. Nie wierzyłem Barneyowi, gdy opowiedział mi o tym spodku po raz pierwszy, ale potem także rozmawialiśmy o nim. Wiem, że przedtem powiedziałem iż nie mówiliśmy więcej na ten temat. Musiałbym powiedzieć, że wierzę teraz w to, co Barney powiedział mi wówczas, ale ja nigdy nie posądzam Barneya o kłamstwo”.

Zapytany, czy mógłby powtórzyć to co Barney mu wtedy powiedział, Danley odrzekł:

„Muszę się nad tym zastanowić, ale chyba powiedziałem już wystarczająco dużo”.

Być może kilka najważniejszych świadectw w sprawie katastrofy dysku pochodzi od majora (obecnie pułkownika) Jesse A. Marcela, który w czasie zdarzenia był oficerem sztabowym służby wywiadowczej bazy sił lotniczych w Roswell. Marcel, obecnie emeryt mieszkający w Houma (stan Luizjana), latał od 1928 roku i jak sam twierdzi – „był naprawdę obeznany ze wszystkim co fruwa”.

Jako jeden z kilku kartografów doświadczonych zarówno w rysowaniu, jak i w interpretacji map lotniczych, po ataku na Pearl Harbour został wysłany przez Air Force do szkoły wywiadu i okazał się tak dobrym studentem, że po ukończeniu nauki został zatrudniony jako instruktor. Piętnaście miesięcy później zgłosił się do czynnej służby i wyjechał do Nowej Gwinei, gdzie został oficerem wywiadowczym szwadronu bombowego. Latając jako bombardier, strzelec pokładowy i pilot spędził w powietrzu 468 godzin na pokładzie B-24. Za zestrzelenie pięciu samolotów przeciwnika był pięciokrotnie odznaczony (sam został trafiony tylko raz w trakcie swojej trzeciej misji). Pod koniec wojny został członkiem 509. Dywizjonu Bombowego Air Force, jedynej w tym czasie „atomowej grupy bombowej”, jednej z kilku elitarnych załóg armii USA. Werbowani do tych załóg oficerowie byli dobierani z wielką starannością pod kątem przygotowania zawodowego i dokładnie weryfikowani pod względem niezawodności. Jako członek tej grupy, Marcel w roku 1946 przyczynił się do zapewnienia bezpieczeństwa próbom z bombami atomowymi, a za swoje zasługi był wielokrotnie odznaczany przez dowództwo US Army.

W wywiadach udzielanych Moore'owi i Stantonowi Friedmanowi w lutym, maju i grudniu 1979 roku Marcel wspominał o kilku interesujących szczegółach odnoszących się do jego własnych związków z wydarzeniem w Roswell, – a także – w związku z relacją Barnetta – wyraził intrygujące przypuszczenie, że albo niektóre materiały z eksplodującego w powietrzu dysku znalazły się na ziemi zanim spodek rozbił się później w pewnej odległości na zachód, albo był tam drugi spodek.

– Majorze Marcel, czy widział pan rozbite UFO?

– Widziałem liczne szczątki, ale nie widziałem całej maszyny. Cokolwiek to było, musiało eksplodować nad ziemią. Ten obiekt rozpadł się przed uderzeniem o ziemię. Odłamki rozrzucone były po całym terenie w promieniu kilkuset metrów.

– W jaki sposób wiadomość o katastrofie na farmie Brazela dotarła do bazy w Roswell?

– Usłyszeliśmy o tym 7 lipca, kiedy zatelefonowano do nas z okręgowego biura szeryfa w Roswell. Jadłem właśnie lunch w klubie oficerskim, kiedy nadeszła wiadomość, że powinienem się tam udać i porozmawiać z Brazelem. Szeryf powiedział mi, iż Brazel poinformował, że coś eksplodowało nad jego farmą i że wokół znajduje się wiele szczątków. Skończyłem lunch i pojechałem do miasta, by pogadać z tym facetem. Kiedy usłyszałem to, co miał mi do powiedzenia, postanowiłem, że będzie lepiej jeśli o wszystkim dowie się pułkownik (Blanchard) i zadecyduje co robić. Chciałem, by Brazel pojechał ze mną do bazy swoim samochodem, ale on powiedział, że ma jeszcze kilka spraw i spotka się ze mną mniej więcej za godzinę. Umówiłem się z nim w biurze szeryfa i pojechałem do bazy, żeby porozmawiać z pułkownikiem. W czasie rozmowy doszliśmy do wniosku, że mogło chodzić o statek powietrzny jakiegoś szczególnego rodzaju i że najlepiej będzie, jeśli udam się na miejsce wypadku biorąc ze sobą wszystko co niezbędne. Ja i agent CIC (Counter Intelligence Corps) z zachodniego Teksasu o nazwisku Cavitt (Marcel nie mógł przypomnieć sobie jego imienia – przyp. aut.) pojechaliśmy do tego człowieka dwoma

samochodami: moim służbowym buickiem i jeepem należącym do Cavitta. Droga była bardzo licha i chwilami musieliśmy jechać po prostu przez pola. Dotarliśmy na miejsce późnym popołudniem i musieliśmy spędzić tam noc. Do jedzenia mieliśmy trochę zimnej wieprzowiny, nieco fasoli i krakersy.

Brazel mieszkał na południowy wschód od Corony. Było to daleko. Od najbliższego miasta dzieliło nas trzydzieści mil. Żył w miłym domu na farmie, na której hodował owce. Nie miał radia ani telefonu. W tym domu spędzał większość czasu. Jego żona wraz z dziećmi mieszkała w Tularosie, bo tam dzieci chodziły do szkoły.

Brazel powiedział mi, iż pamięta, że kilka dni wcześniej późnym wieczorem podczas burzy usłyszał jakiś dziwny wybuch. Wtedy me zwrócił na to uwagi sądząc, że to wyładowania atmosferyczne. Dopiero następnego ranka znalazł szczątki pojazdu.

W sobotę 5 lipca 1947 roku Brazel pojechał do Corony. Tam usłyszał opowieści o latających spodkach, które widziano w całej okolicy. Wtedy dopiero przyszło mu do głowy, że być może to latający spodek spadł na jego farmie. Nie wiem jednak, czy o swoich przypuszczeniach powie dział komukolwiek.

W niedzielę 6 lipca Brazel postanowił pojechać do miasta i opowiedzieć komuś o zdarzeniu na jego farmie. Udał się do okręgowego biura szeryfa i przedstawił tę historię. I właśnie ów szeryf, George Wilcox, poinformował bazę. Było to w porze lunchu i właśnie siadałem do stołu, gdy zadzwonił telefon.

– Czy sądzi pan, że to co pan widział było wrakiem balonu meteorologicznego?

– Nie, to nie był balon. Byłem bardzo dobrze zorientowany we wszystkim, co w tym czasie mogło znajdować się w powietrzu. Znałem mi były zarówno nasze, jak i zagraniczne obiekty. Znałem wszystkie, także radarowe, urządzenia jakimi posługiwały się wojskowe i cywilne służby meteorologiczne. Z całą pewnością nie było to urządzenie meteorologiczne ani zwiadowcze. Nie był to także ani samolot, ani pocisk. Nie wiedzieliśmy co to było. Znaleźliśmy tylko części. Było to coś, czego nigdy przedtem nie widziałem, ale z całą pewnością nie było to zbudowane przez nas i na pewno nie był to żaden balon meteorologiczny.

– Czy może pan opisać przedmioty, które znalazł pan na miejscu zdarzenia?

– Były tam różnego rodzaju szczątki, małe kawałki dziwnego tworzywa zapisane jakimiś hieroglifami, których nikt nie potrafił odczytać. Wyglądały tak, jakby zrobiono je z drewna balsy, miały podobny ciężar, ale nie były drewniane. Były bardzo twarde, ale elastyczne i niepalne. Tworzywo, z którego były zrobione niektóre fragmenty, przypominało pergamin w kolorze brązowym, inne zaś wydawały się zrobione z metalu przypominającego cynfolię. Interesowałem się elektroniką i szukałem czegoś, co przypominałoby instrumenty lub wyposażenie elektroniczne, ale niczego takiego nie znalazłem. Jeden z pozostałych facetów, zdaje się Cavitt, znalazł jakąś czarną, kilkucalową skrzynkę, która wyglądała na metalową. Ponieważ nie wiadomo było, jak ją otworzyć i najwyraźniej nie zawierała żadnych instrumentów (była bardzo lekka) odłożyliśmy ją wraz z innymi przedmiotami. Nie wiem, co ostatecznie stało się z tym pudełkiem, ale z całą pewnością znalazło się ono wśród tych przedmiotów, które zabraliśmy do Forth Worth.

– Czy było coś szczególnie interesującego w tych przedmiotach?

– Szczególne wrażenie zrobiło na mnie to, że większość tych przedmiotów wydawała się zrobiona z czegoś, co przypominało pergamin. Kilka z nich nosiło jakieś symbole, które z konieczności nazwaliśmy „hieroglifami”, bo nie można ich było odczytać. Były nieczytelne, wydawało się nam, że są symbolami, że coś oznaczają. Nie były identyczne, ale można powiedzieć, że miały ten sam krój. Były różowe i purpurowe. Wyglądały jakby je namalowano. Znalezione przez nas materiały były niełamliwe i niepalne. Wyciągnąłem zapalniczkę i próbowałem podpalić kilka kawałków przypominających pergamin i drewno balsy, ale one nie tylko się nie zapaliły, ale nawet nie okopciły. Jeszcze bardziej zdumiewające były kawałki metalu tak cienkie jak celofan. Początkowo nie zwróciłem na to uwagi, ale jeden z chłopców podszedł do mnie i zapytał: „Czy znasz to tworzywo?” Ten metal nie dał się zgiąć, a po uderzeniu młotkiem nie zostało w nim nawet wklęsnięcie. Ten konkretny kawałek, mający dwie stopy długości i jedną stopę szerokości, był tak cienki i lekki, że prawie nic nie ważył. Robiliśmy wszystko co w naszej mocy, by go złamać, ale nie udało nam się. Nie mogliśmy go ani rozedrzeć, ani przeciąć. Uderzaliśmy w niego szesnastofuntowym młotkiem, ale nie pozostawił on na kawałku metalu ani jednego wklęsnięcia. Do dziś pozostaje dla mnie zagadką, czym był ten fragment materiału. Można go było rozciągać, a nawet pomarszczyć, ale nie można było złamać ani wygiąć. Opisałbym go jako metal o właściwościach plastyku. Jeden z chłopców próbował ułożyć z kilku kawałków jakąś całość, jak puzzle. Udało mu się ułożyć mniej więcej dziesięć stóp kwadratowych, ale nie wystarczyło to, by wyobrazić sobie jak wyglądał ten obiekt. Cokolwiek to było, było duże...

– Co zrobiliście ze szczątkami tego obiektu?

– Pozbieraliśmy wszystkie kawałki, które mogliśmy unieść. Kiedy wypełniliśmy nimi całego jeepa, zacząłem umieszczać resztę w bagażniku i na tylnym siedzeniu buicka. Tego samego popołudnia (7 lipca) wyruszyliśmy do Roswell i dotarliśmy tam o zmierzchu. Gdy tam przyjechaliśmy, stwierdziliśmy, że

wieść o znalezionym przez nas latającym spodku dotarła przed nami. Nasz PIO (Public Information Officer – rzecznik prasowy) poinformował już o tym agencję AP (Associated Press). W nocy odebraliśmy kilka telefonów, a pewien reporter przyjechał nawet do mnie do domu, ale ponieważ było oczywiste, że niczego nie mogę mu powiedzieć, moja żona odesłała go do pułkownika. Następnego ranka wydano oświadczenie dla prasy i dopiero wtedy naprawdę się zaczęło!

Tak czy inaczej, następnego popołudnia zgodnie z rozkazem pułkownika Blancharda załadowaliśmy wszystko na pokład B-29 i wysłaliśmy do Forth Worth. Miałem rozkaz nadzorowania transportu tego ładunku przez całą drogę do Wright Field w stanie Ohio, ale kiedy dolecieliśmy do Carswell w Forth Worth, generał zmienił rozkaz. Przejawszy nad wszystkim kontrolę powiedział prasie, że znaleziony przez nas przedmiot jest balonem meteorologicznym, mnie zaś wydał rozkaz nieudzielania prasie żadnych informacji bez względu na okoliczności. Zostałem zwolniony z dalszego lotu, a dostarczenie tego ładunku do Wright (Patterson) Field powierzono komuś innemu. Cały ładunek wysłano do Wright Patterson do analizy.

Gdy tylko dotarliśmy wtedy do Carswell, kazano nam kilka tych przedmiotów dostarczyć do kwatery generała, który chciał je obejrzeć. W kwaterze generała rozłożyliśmy te przedmioty na podłodze, na której wcześniej położono brązowy papier.

To, co tam umieściliśmy było niewielką częścią naszego „znaleziska”. Całość zajmowała połowę B-29. Generał Ramey pozwolił kilku reporterom sfotografować te przedmioty, ale nie wolno im było ich dotknąć. Przedmiot widoczny na zdjęciu jest rzeczywiście częścią tego, co zostało znalezione. Nie było to zdjęcie sfałszowane. Później uprzątnięto te przedmioty i zastąpiono je jakimiś innymi, pozwalając robić następne zdjęcia. Robiono je wtedy, gdy prawdziwe fragmenty latającego dysku były już w drodze do Wright Field. Nie uczestniczyłem w tym. Widziałem wiele balonów meteorologicznych, ale nigdy przedtem nie spotkałem takiego jak ten. Sądzę, że oni także nigdy czegoś takiego nie oglądali.

– Powróćmy do tego, w jaki sposób dowiedzieli się o tym wydarzeniu dziennikarze prasowi i radiowi?

– To Haut, oficer zajmujący się informacją, był tym człowiekiem, który zatelefonował do AP (Associated Press), a potem napisał oświadczenie. Słyszałem, że nie był do tego upoważniony i sądzą, że otrzymał ostre upomnienia, pewnie z samego Waszyngtonu. Telefonowano do nas zewsząd, z całego świata. Historia z balonem jest dziełem generała Rameya. Prasa otrzymała informację, że to był balon i że specjalny lot do Wright Patterson został odwołany, ale prawdą było tylko to, że ja zostałem z tego lotu odwołany, a ktoś inny zawiózł ładunek do Wright Patterson. Nie pozwolono mi powiedzieć prasie niczego ponad to, co nakazał mi mówić generał. Wszyscy zadawali mi pytania, a ja nie mogłem na nie odpowiedzieć.

– Czy chce pan przez to powiedzieć, że cała historia z balonem była kamuflażem?

– No cóż, chcę tylko zwrócić uwagę na fakt, że dziennikarzom pokazano bardzo mało materiałów i że wśród tego, co zobaczyli nie było żadnego z tych elementów, na których były owe hieroglify i symbole. Chcieli bym im o tym opowiedział, ale ja nie mogłem udzielić żadnych informacji. Generał powiedział dziennikarzom, że to był balon meteorologiczny, a oni musieli uwierzyć mu na słowo, bo nie mieli żadnych innych danych. Próbowali skłonić mnie do mówienia, ale ja musiałem wypełnić rozkaz generała, który później powiedział mi: „Będzie lepiej, jeśli wrócisz do Roswell. Masz tam swoje obowiązki. Tym my się zajmujemy”.

Marcel zapamiętał generalską przestrożę. Wrócił do Roswell i przez wiele lat zachowywał nakazane mu milczenie. W październiku 1947 roku, dokładnie trzy miesiące po opisanym tu wydarzeniu, mimo protestów pułkownika Blancharda, został nagle przeniesiony do Waszyngtonu. Tam szybko (w grudniu) awansowano go na stopień podpułkownika i przydzielono mu Special Weapons Programme (Program Sił Specjalnych) zajmujący się gromadzeniem próbek powietrza i poddawaniem ich analizie, w celu uzyskania odpowiedzi na pytanie, czy Rosjanie przeprowadzili już swoją pierwszą próbę z bombą nuklearną.

„Kiedy wykryliśmy, że dokonano już takiej próbnej eksplozji, moim zadaniem było sporządzenie próbnego raportu. Wygłoszony w radiu przez prezydenta Trumana komunikat o tym, że Rosjanie mają broń atomową był w istocie moim raportem”.

Pytany o to, czy wiedział, że szczątki znalezione na farmie Brazela łączono z doniesieniami o spodku rozbitym w tym samym czasie nie opodal Socorro, Marcell odpowiedział:

„Słyszałem o tym, ale nie mógłbym tego potwierdzić jako naoczny świadek. Jeśli nawet inna grupa wojskowa znalazła większe fragmenty wraku, to przecież wcale nie musiałem być o tym poinformowany. Mogę mówić tylko o tym, co sam widziałem, a to, co widziałem nie było częścią balonu meteo”.

Czy ktoś inny mógłby powiedzieć nam coś jeszcze na temat tego, co znaleziono na farmie Brazela?

Być może mój syn coś pamięta. Miał wtedy około dwunastu lat i nim wszystko zostało zapakowane, widział kilka wziętych stamtąd Przedmiotów.

Syn majora Marcela jest obecnie lekarzem w miejscowości Helena (stan Montana). Jako chłopiec doktor Marcel interesował się lataniem i podróżami kosmicznymi. Był zafascynowany zarówno tym, co jego ojciec przyniósł do domu, jak i doniesieniami, że jakiś pojazd kosmiczny rozbił się niedaleko bazy w Roswell. Nie mógł jednak naocznie sprawdzić tych informacji.

Doktor Marcel wspomina:

„Tata otrzymał telefonicznie polecenie udania się na miejsce zdarzenia i zbadania rozbitego pojazdu powietrznego. Spędził tam kilka dni i wrócił z dwoma samochodami (ciężarówką i wozem osobowym) wyładowanymi zarówno dużymi, jak i małymi częściami wraku. Materiał, z jakiego zbudowany był rozbity pojazd, przypominał tworzywo foliowe, był bardzo cienki, wyglądał jak metal, ale z całą pewnością nie był to metal. To tworzywo było bardzo mocne. Były tam również jakieś części konstrukcyjne przypominające belki oraz czarne plastikowe tworzywo, które mogło być tworzywem organicznym.

Wieczorem ojciec ponownie pojechał na farmę Brazela. Nie było go całą noc i prawie cały następny dzień”.

Kiedy zapytano doktora Marcela, czy udało mu się przechować chociaż kawałek tego tworzywa, odpowiedział:

– Ojciec powiedział mi, że wszystko jest posegregowane i nie pozwolił niczego wziąć, więc nie wzięłem. Ale z pewnością chciałem”.

– Doktorze Marcel, czy później słyszał pan coś jeszcze o tym wydarzeniu?

– Tak, wieści rozeszły się szeroko i byliśmy nachodzeni przez dziennikarzy. Nie orientowałem się w tym zbyt dobrze, miałem jednak wrażenie, że maszyna, z której pochodziły te przedmioty, nie była sondą meteorologiczną. Powiedziano nam, że był to jakiś typ statku powietrznego, ale żaden ze znanych nam. Ojciec mówił też, że siła uderzenia nie odpowiadała sile żadnego pojazdu, jaki mieliśmy w tym czasie.

Kilka tygodni później, w kwietniu 1979 roku, doktor Marcel przypomniał sobie coś jeszcze:

Mówiąc o katastrofie UFO w 1947 lub 1948 roku nie powiedziałem o pewnym szczególnym elemencie wraku w obawie, że mój opis mógłby zostać potraktowany jako wymysł dwunastolatka. Na brzegach kilku kawałków wraku znajdowały się jakieś znaki przypominające hieroglify. Ostatnio zapytałem o to swego ojca, on także je sobie przypomina i mówi, że były różowe i purpurowe. Przypominały hieroglify egipskie, ale wydaje mi się, że nie było tam rysunków zwierząt, które są charakterystyczne dla egipskich znaków hieroglificznych. Zastanawiam się, czy jakieś szczątki tego wraku nie zachowały się jeszcze przypadkiem na pustyni w Nowym Meksyku. Ojciec mówił, że po zbadaniu miejsca zdarzenia część szczątków pozostawiono. Podejrzewam jednak, że gdy tylko w Air Force Intelligence zrozumiano, czym jest ten pojazd, miejsce wypadku zostało wyczyszczone tak dokładnie, jakby przejechano po nim odkurzaczem. Jak państwo wiedzą, mój ojciec przyniósł kilka szczątków wraku do domu i rozłożywszy je na podłodze próbował ułożyć z nich jakiś większy fragment. Była to sterta metalicznych skrawków przypominających plastik. Nie roztapiały się ani nie paliły. Próba złożenia ich w jakąś większą całość nie powiodła się, bo było ich dużo, po ułożeniu na podłodze w kuchni sporo ich jeszcze zostało i chyba rzeczywiście niektóre z nich – jak wspomina moja matka – zostały wymiecione za drzwi. Mniej więcej w tym samym czasie wylewaliśmy w naszym domu betonowy chodnik wiodący od drzwi do patio. Nie pamiętam czy było to przed, czy po wydarzeniu w Roswell, ale jeśli miało to miejsce krótko po nim, czyż mógł być lepszy sposób na zachowanie tych fragmentów...? Szansa na znalezienie tam czegokolwiek jest znikoma, ale nie zerowa...

W dziejach archeologii zdarzały się wypadki nieświadomego niszczenia bezcennych przedmiotów. Badacze interesującego nas zdarzenia z pewnością mieliby nie lada trudności w nakłonieniu obecnych lokatorów domu należącego wtedy do Marcela, aby kawałek po kawałku rozkuli swoje patio, bo być może znajdują się tam zapiski z kosmosu.

Walter Haut, obecnie właściciel W. H. Art Galery w Roswell, był w czasie wydarzenia oficerem do spraw informacji. Nie był jednak naocznym świadkiem tego, co stało się w Roswell. Jego zadaniem było zmniejszenie wrzawy wywołanej przybyciem najwyraźniej międzyplanetarnych

gości. W wywiadach udzielonych przez niego w marcu i w czerwcu 1979 roku przebieg tamtych wydarzeń rysuje się następująco:

Porucznik Haut, wezwany przez pułkownika Williama Blancharda, otrzymał polecenie napisania i rozpowszechnienia komunikatu prasowego mówiącego, że AAF (American Air Force) znalazły szczątki rozbitego latającego spodka. Kiedy zapytał, czy może zobaczyć przedmiot, o którym mowa, pułkownik Blanchard powiedział, że ta prośba nie może być spełniona. Porucznik Haut napisał więc ów komunikat i rozesłał go. Hauta poinformowano, że na pokładzie samolotu, którym znalezione szczątki wysłane zostaną do Forth Worth będzie major Marcel, on zaś ma pozostać na miejscu i odbierać telefony. Przez następnych osiem godzin porucznik odbierał telefony z prośbami o informację. Telefonowano dosłownie z całego świata – nawet z Hongkongu. Kiedy pułkownik Blanchard dowiedział się o tym gwałtownym wybuchu międzynarodowej ciekawości, rzekł do porucznika Hauta: „Jeśli w jakiś sposób możesz sprawić by się zamknęli, zrób to!” Napięcie zmalowało dopiero wtedy, gdy wraz z „historią balonową” przekazano prasie stanowcze oświadczenia generała Rameya, w których zaprzeczał pozaziemskiemu pochodzeniu znalezionej wraku.

W kwietniu 1948 roku Haut podał się do dymisji na wieść, że ma być przeniesiony (notabene nim porzucił służbę wojskową awansowano go na stopień kapitana, choć wcześniej nie przewidywano jego awansu). Sierżant Edward Gregory, który w czasie, gdy wydarzył się incydent pracował z porucznikiem Hautem w Biurze Informacji, w wywiadzie udzielonym przez telefon Stanowi Friedmanowi ze swego domu w Livemore (stan Kalifornia) stwierdził, że nigdy nie zrozumiał, dlaczego porucznik Haut porzucił służbę. „Pułkownik Blanchard – powiedział sierżant Gregory – był pierwszorzędnym facetem i nie proponowałby żadnego oświadczenia dla prasy, gdyby nie był cholernie pewien, że nie ma do czynienia z żadnym balonem meteorologicznym”.

Kiedy zaczęto zaprzeczać kosmicznemu pochodzeniu rozbitego pojazdu, pierwsza informacja mogła być uznana za pomyłkę i tłumaczona powszechną w tym czasie UFO-paniką. Było jednak przecież wielu innych bezpośrednich i pośrednich świadków...

Jedyną osobą, która z pewnością powinna mieć informacje z pierwszej ręki o przypuszczalnie pozaziemskim pojeździe, był William W. MacBrazel. To on właśnie znalazł na swojej farmie szczątki wraku i to on spowodował zainteresowanie całą sprawą majora Marcela. Chociaż Brazel zmarł w roku 1963, jego syn i synowa, Bill i Shirley mieszkający w Capitan (stan Nowy Meksyk) dobrze pamiętają to zdarzenie. Bill Brazel jest pracownikiem Texas Instruments i większość czasu spędza daleko od domu, pracując jako geosejsmolog w północnym rejonie Alaski. Bill udzielał Moore'owi wywiadów w marcu, czerwcu i grudniu 1979 roku.

– Czy może mi pan opowiedzieć o znalezieniu na farmie przez pańskiego ojca wraku rozbitego pojazdu i szczątków jakichś powietrznych urządzeń?

– No cóż, nie mogę opowiedzieć panu dokładnie całej tej historii, ponieważ nie wszystko wiem. Ojciec był bardzo powściągliwy mówiąc o tym. Większość tego, co wiedział i czego doświadczył zabrał do grobu. Oni (wojsko) zobowiązali go do zachowania tajemnicy i ojciec potraktował to bardzo poważnie. Najlepszym tego przykładem był fakt, że nigdy nie rozmawiał na ten temat nawet z matką. Mówiąc prawdę, najbliższa z całej rodziny była mu Shirley i gdyby miał zamiar komukolwiek powiedzieć o tym co widział, z pewnością powiedziałby jej. Ale nie zrobił tego i jeśli wojsko nie będzie miało ochoty ujawnić wszystkich znanych sobie informacji, prawdopodobnie nigdy nie dowiemy się niczego więcej.

Tak naprawdę po raz pierwszy dowiedzieliśmy się o tym wydarzeniu, gdy pewnego dnia wpadł nam do ręki wydawany w Albuquerque *Journal* z fotografią ojca na pierwszej stronie. Inny artykuł na ten sam temat znaleźliśmy w piśmie *News* ukazującym się w okręgu Lincoln. Shirley powiedziała: „Mój Boże, w co on się wpakował!”, a ja odrzekłem: „Nie wiem, ale może powinniśmy pojechać tam jutro i dowiedzieć się wszystkiego”. Byliśmy wtedy krótko po ślubie i mieszkaliśmy w Albuquerque. Gdy przyjechaliśmy do ojca, nikogo nie zastaliśmy w domu. Z tego, co napisano w gazetach domyśliliśmy się, że był w Roswell. Zdecydowałem więc, że nim wróci do domu, ja zaopiekuję się farmą. Shirley jeszcze tego samego wieczoru wróciła do Albuquerque. Gdy do poniedziałku (14 lipca) ojciec nie pojawił się w domu, zacząłem się naprawdę niepokoić. Pojechałem do Corony, aby przeprowadzić kilka rozmów telefonicznych w celu ustalenia, co się właściwie dzieje. Powiedziano mi, żebym się nie denerwował, że ojciec ma się dobrze i że najpóźniej następnego dnia powinien wrócić do domu. I rzeczywiście przyjechał, ale nie chciał opowiadać o tym, gdzie był i co robił. Wydawał się bardzo rozgoryczony i nie był w nastroju do rozmowy. „Widziałeś gazetę – powiedział – i nie musisz wiedzieć nic więcej ponad to, co w niej przeczytałeś. Dzięki temu nikt nie będzie cię zanudzał”. Później powiedział, że „znalazł tę rzecz i

zwrócił się z tym do Roswell”, a oni zatrzymali go z tego powodu niemal cały tydzień. Ciągłe słyszę go mówiącego: „Na Boga, próbowałem zrobić dobry uczynek, a oni zamknęli mnie z tego powodu do paki!” Potem powiedział, że jeśli czytaliśmy gazety, to wiemy wszystko, nic więcej nie mógłby nam opowiedzieć. Powiedział też, że kazano mu siedzieć cicho, ponieważ jest to sprawa wagi państwowej, a jego milczenie będzie przejawem patriotyzmu – oto dlaczego nie ma zamiaru niczego nam wyjaśniać. Mówił, że zamknięto go w jakimś pokoju i nie pozwolono wychodzić. Był bardzo rozgoryczony i zły z powodu sposobu, w jaki go potraktowano. Zanim pozwolono mu wrócić do domu został nawet przebadany od stóp do głów przez wojskowych lekarzy. To, co w końcu, słowo po słowie, udało mi się przez te wszystkie lata z niego wyciągnąć, ułożone w całość dawałoby mniej więcej taki obraz tamtych wydarzeń:

Ojciec był w swoim domu na farmie z dwoma młodszymi synami, gdy późnym wieczorem rozpętała się gwałtowna burza. Opowiadał, że była to najgorsza burza ze wszystkich jakie widział, a możecie być pewni, że widział ich wiele. Pioruny były jeden po drugim. Dziwiło ojca to, że błyskawice i pioruny uderzały stale w te same miejsca, jak gdyby w tych miejscach było coś szczególnego. Przypuszczał, że może były tam jakieś złoza. W czasie burzy miała miejsce jakaś dziwna eksplozja, huk brzmiał inaczej niż zwykły grzmot. Mówił, że wtedy nie zastanawiał się nad tym, bo burza była tak straszna, iż pomyślał, że było to jakieś nadzwyczajne wyładowanie elektryczne. Potem jednak zastanawiał się nad tym głęboko. Gdy następnego ranka objeżdżał pastwisko by przeliczyć owce, zobaczył szczątki jakiegoś pojazdu rozrzucone szeroko, na przestrzeni liczącej ćwierć mili długości i kilkaset stóp szerokości. Powiedział mi kiedyś, że wyglądało to tak, jakby coś wyleciało tam w powietrze. Mówił też, że z układu rozrzuconych szczątków można by wnioskować, iż pojazd leciał do Socorro, które znajduje się na południowy zachód od farmy.

Ojciec początkowo nie zdawał sobie sprawy z powagi swego odkrycia i dopiero po dwóch dniach postanowił pojechać tam ponownie i przyjrzeć się wszystkiemu z bliska. To właśnie wtedy wziął stamtąd kilka szczątków wraku i przyniósł je na farmę. Tego wieczoru poszedł do Proctora (Floyd Proctor był najbliższym sąsiadem Brazela) i opowiedział mu o wszystkim. Proctorowi nie chciało się pójść z ojcem na miejsce wypadku, ale ojciec był coraz bardziej zaintrygowany niezwykłym wydarzeniem. Następnego dnia pojechał do Corony i właśnie wtedy w czasie rozmowy z moim wujkiem Hollisem Wilsonem i jednym ze swoich znajomych z Alamogordo po raz pierwszy usłyszał o meldunkach na temat latających spodków. Zarówno Hollis, jak i ten facet z Alamogordo poradzili tacie, by wziął kilka leżących na polu kawałków i pokazał je miejscowym władzom.

Następnego dnia ojciec wrócił do domu po chłopców i pojechał do Roswell przez Tularosę, gdzie zostawił ich u matki. Myślę zresztą, że przede wszystkim jechał do Roswell po to, by kupić tam nowego jeepa, bo z całą pewnością nie wybrałby się w tę podróż jedynie z powodu znalezionej wraku. Nie wierzę też, by liczył, że zarobi na tym, co ze sobą wiozł. Teraz kilka prasowych doniesień mówi, że pojechał do Roswell by sprzedać tam wełnę. Nie wiem, skąd wzięto zarówno tę historię, jak i inne informacje, ale mogę zapewnić, że ojciec nigdy nie sprzedawał wełny w Roswell, bo całą kontraktowało u niego jakieś przedsiębiorstwo z Utah. Mogę więc z całą pewnością powiedzieć, że nie pojechał tam w sprawie wełny, ale w sprawie swego samochodu.

– Czy kiedykolwiek mówił panu, jak wyglądały przedmioty, które znalazł?

– Nie, nie opisywał ich dokładnie, ale wtedy nie musiał, bo ja sam miałem ich kilka. Pokazywał mi miejsce, gdzie spadły, ale oczywiście teraz nie zobaczyłby pan tam nic, ponieważ Air Force skierowały tam cały pluton ludzi, którzy zabrali wszystkie kawałki i pocięli na strzępy wszystko, co znaleźli. Mimo to ilekroć przejeżdżałem przez to pastwisko, miałem ochotę rzucić na nie okiem. Wydawało mi się, że po każdym porządnym deszczu znajdę tam jakieś kawałki, które żołnierze przeoczyli. Po dwóch latach udało mi się zgromadzić małą kolekcję. Tak małą, że gdybym ją rozłożył na tym stole, zajęłaby zaledwie tyle miejsca, ile zajmuje pańska teczka.

– Czy może pan opisać to co pan znalazł?

– Oczywiście. W mojej kolekcji były szczątki z kilku rodzajów tworzywa. Naturalnie miałem tylko małe kawałki i jedno co mogę o nich powiedzieć to to, że były niezwykle lekkie. Prawie nic nie ważyły. Niektóre z nich przypominały balsem, miały jednak ciemniejszy kolor i były twardsze. Im drewno jest twardsze, tym mniej waży (drewno mahoniowe jest zupełnie lekkie). Tego nic nie ważącego tworzywa nie można było ani porysować, ani złamać. Było giętkie, ale niełamliwe. Miałem tylko kilka małych kawałków. Nigdy nie przyszło mi na myśl, by próbować je podpalić, więc nie wiem, czy materiały były łatwo palne. Było tam także kilka kawałków wykonanych z tworzywa przypominającego metal. Można powiedzieć, że tworzywo to przypominało celofan, choć nie dawało się rozerwać i miało nieco ciemniejszy kolor. Było bardzo cienkie i prawie nic nie ważyło. Jego szczególną cechą było to, że można je było marszczyć i rozciągać na wszystkie strony, a ono natychmiast wracało do swego pierwotnego

kształtu. Było giętkie, ale nie dawało się zginać jak zwykły metal. Bardziej przypominało jakiś rodzaj tworzywa niż metal. Nie wiem, co to było, ale ojciec mówił mi, że w wojsku powiedziano mu, iż ustalono ponad wszelką wątpliwość, że nie wyprodukowano tego na Ziemi.

Było tam także tworzywo przypominające nici. Wyglądało jak jedwab. Te „nici” nie były wystarczająco grube, by można je było nazwać strunami, ale też nie tak cienkie jak nici do szycia. Wszystko wskazywało na to, że to był jedwab, jednak to nie był jedwab. Cokolwiek to było – było bardzo mocne. Ten materiał nie dawał się rozerwać. Nie miał też włókien ani pasm jak jedwab. Myślę, że mógł to być rodzaj jakiegoś drutu czy kabla, jakiego nigdy przedtem nie widziałem. Wcześniej nie widziałem takich materiałów. Żadna z tych substancji nie miała wyglądu tworzywa naturalnego. Gdy myślę o tym dzisiaj, sędzę, iż przypominały one tworzywa syntetyczne.

– Czy na tych kawałkach, które pan posiadał były jakieś znaki lub napisy?

– Nie, nic takiego na nich nie było. Ale ojciec powiedział kiedyś, że na kilku innych znalezionych przez niego kawałkach było coś, co nazwał „obrazkami”. Często nazywał tak hieroglify namalowane na tutejszych skalach przez dawnych Indian i sędzę, że takie właśnie znaki miał na myśli.

– Co się stało z pańską kolekcją? Czy przechowuje ją pan do dziś?

– Teraz usłyszysz pan najbardziej zdumiewającą część tej opowieści. Nie, nie mam już mojej kolekcji. Pewnego wieczoru, mniej więcej dwa lata po tej przygodzie, jaką przeżył mój ojciec, pojechałem do Corony. Przypuszczam, że będąc tam mówiłem zbyt wiele, znacznie więcej niż powinienem. Wiem, że wspomniałem komuś o swojej kolekcji. Następnego dnia wojskowym samochodem przyjechał do nas jakiś kapitan z bazy w Roswell z trzema mężczyznami. Ojca nie było wtedy w domu, ale oni wcale nie z nim chcieli rozmawiać. Przyjechali do mnie! Ten, który wyglądał na kapitana – Armstrong (wydaje mi się, że tak się właśnie nazywał: kapitan Armstrong) – dowiedział się o mojej kolekcji i zapytał, czy mógłby ją zobaczyć. Oczywiście pokazałem mu ją. On zaś powiedział wtedy, że to rzeczy niezwykle ważne dla bezpieczeństwa kraju i powinienem pozwolić mu zabrać je ze sobą. Najbardziej interesował się tym, co przypominało strunę. Nie wiedziałem co robić, więc się zgodziłem. Potem chciał, bym poszedł z nimi na pastwisko i pokazał miejsca, gdzie znalazłem te przedmioty. Powiedziałem: O.K. i zabrałem ich tam. Po rozejrzeniu się wokół i stwierdzeniu, że żadnych przedmiotów już tam nie ma, kapitan ponownie zapytał mnie, czy miałem ich więcej i czy znam kogoś, kto mógłby je mieć. Odparłem, że nie, a on powiedział, że gdybym znalazł coś jeszcze, powinienem natychmiast powiadomić o tym bazę w Roswell. Obiecałem, że tak zrobię, ale nigdy tego nie uczyniłem, bo nigdy więcej niczego nie znalazłem.

– Czy to, co pan znalazł mogło być częścią jakiegoś balonu?

– Mogę z całym przekonaniem odpowiedzieć, że nie. Nie był to żaden balon. W tej okolicy znajdowaliśmy różne balony i ilekroć to się zdarzało, zawsze je oddawaliśmy, ponieważ czasem dostawaliśmy za to nagrody. To nie był balon. Dziwne było to, że kiedy ojciec po raz pierwszy pojechał do Roswell i powiadomił o swym odkryciu biuro meteorologiczne, to właśnie tam poradzono mu, żeby to co znalazł pokazał szeryfowi. Jest jeszcze jedna sprawa, która może się wydać państwu interesująca. Kiedyś zapytałem ojca, czy miejsce, w którym nie zidentyfikowany pojazd uderzył było wypalone. Odpowiedział, że nie, ale powiedział też, że gdy był tam po raz drugi, zauważył, że część roślinności w tym miejscu wydawała się osmolona na samych końcach. Nie była wypalona, ale właśnie osmolona. Nie przypominam sobie, bym ja sam widział coś takiego, ale ojciec twierdził, że widział.

– Czy ojciec wspominał o jakichś istotach znalezionych w tym wraku?

– Nie, nigdy nie słyszałem od niego o niczym podobnym, ale to bardzo ciekawe. Znałem faceta, z którym krótko pracowałem na Alasce, który chyba coś na ten temat wiedział. Rozmawialiśmy któregoś wieczoru o różnych sprawach, a jednym z tematów był latający spodek, który podobno pojawił się nad tamtejszą tundrą. Wspomniałem mu wtedy o przygodzie mojego ojca i wówczas on – ku mojemu zaskoczeniu – zapytał, czy chciałbym dowiedzieć się o tym czegoś więcej. Powiedział mi, że odkryli oni resztę tego wraku po jego upadku na teren pustynny i tam właśnie znaleziono jakieś istoty. Mówił, że kiedy weszli do tego rozbitego spodka, były tam dwie z tych istot. Miały podobno około trzech-czterech stóp wzrostu i były łyse. Wtedy były jeszcze żywe, ale ich gardła były okropnie popalone przez płonące gazy lub dymy i te istoty nie mogły się ze sobą porozumiewać. Powiedział, że zabrano je do Kalifornii i za pomocą respiratorów utrzymywano przy życiu, ale obie te istoty zmarły nim znaleziono jakikolwiek sposób kontaktowania się z nimi.

Facet, który mi to opowiedział nazywał się Lamme i podał mi również nazwiska dwóch innych osób uczestniczących w tym wydarzeniu, ale dziś już nie mogę ich sobie przypomnieć. To naprawdę wszystko, co mogę w tej sprawie powiedzieć. Dla mnie cała ta historia również jest zdumiewająca.

Jak już wspomnieliśmy ojciec Billa Brazela zmarł w roku 1963 nie zostawiając, niestety, żadnych oświadczeń dla prasy i z całą pewnością nic nie wiedząc o owych niewielkich istotach, do których być może należał znaleziony przez niego wrak. Przez wszystkie lata milczenia z pewnością

zastanawiał się dlaczego – skoro to wydarzenie było rzeczywiście związane z kosmosem – nigdy nie wyjaśniono owego incydentu do końca. Na pewno nie był on też jedynym człowiekiem, który się nad tym zastanawiał.

Floyd Proctor był najbliższym sąsiadem Brazela. Mieszkał około ośmiu mil od jego farmy i kiedy udzielał (w czerwcu 1979 roku) Moore'owi wywiadu, pamiętał ten incydent bardzo dobrze:

– Brazel przyjechał do mnie tego dnia późnym popołudniem bardzo podekscytowany znalezieniem na swojej farmie jakiegoś wraku. Nazwał ten wrak „najdziwniejszym przedmiotem, jaki kiedykolwiek widział” i namawiał mnie, bym z nim pojechał i obejrzał wrak. Byłem wtedy zmęczony i zajęty, więc nie chciałem sobie zwracać głowy. Ale on wciąż próbował mnie tam wyciągnąć.

– Co Brazel o tym opowiadał?

– Był tego dnia szczególnie rozmowny, co zdarzało mu się naprawdę bardzo rzadko. Wprost nie mógł przestać o tym mówić. Opisowywał ten przedmiot jako bardzo dziwny. Powiedział, że na szczątkach wraku były wypisane znaki, które przypominały mu litery chińskie albo japońskie. Przedmioty te nie były wykonane z papieru, bo nie mógł przeciąć ich nożem. Metal, z jakiego były wykonane był inny niż metale, jakie kiedykolwiek oglądał. Mówił też, że znaki były podobne do tych, jakie można znaleźć na banderolach sztucznych ogni – jakieś postacie w pastelowych barwach... – ale nie były to takie napisy, jakie my zwykliśmy robić.

– Czy pan wie co zrobił ze znalezionymi przedmiotami?

– Sugerowaliśmy, by zawiózł je do Roswell, a potem dowiedzieliśmy się, iż rzeczywiście tak zrobił. Trzymano go tam pod strażą prawie tydzień. Zanim tam pojechał, był bardzo rozmowny, a po powrocie nic nie chciał mówić. Sprawiał wrażenie kogoś, kto miałby o czym opowiadać, wydawało się, że wie coś szczególnego, ale nie powiedział nic ponad to, że poinformowano go, iż to co znalazł to szczątki balonu meteo. Tak czy inaczej trzymali Maca przez kilka dni, podczas gdy ludzie z bazy przetransportowali wszystko. Wtedy dopiero odstawili Brazela do domu.

– Czy opowiadał coś więcej o swoim pobycie w bazie?

– Nie wiem, co tam z nim robili. Gdy L. D. Sparks (były sąsiad) i ja widzieliśmy go w Roswell, był otoczony przynajmniej przez sześciu żołnierzy i przeszedł obok nas, jakby nas w ogóle nie znał. Gdy zapytaliśmy go, ile osób przyszło zbierać szczątki rozbitego pojazdu, powiedział że nie wie. Powiedział tylko, że katastrofa wydarzyła się jakieś siedem-osiem mil od Foster, na pastwisku owiec. Obecnie teren ten należy do rodziny Chavez.

W tym czasie do pokoju weszła żona Proctora i zorientowawszy się czego dotyczy rozmowa, dorzuciła kilka ciekawych informacji. Brat pani Proctor, Robert R. Porter z Great Falls (stan Montana) był jednym z członków załogi samolotu, którym przewożono wrak do bazy Carswell w Forth Worth w drodze do Wright-Patterson Field w Ohio. Przypomina ona sobie, że w czasie lotu Porter wielokrotnie pytał innych czego dotyczy cały ten sekret i czy okryty taką tajemnicą materiał, który wieźli był naprawdę statkiem z kosmosu. Powiedziano mu: „To jest właśnie to i nie zadawaj więcej żadnych pytań”. Dodał, że nie miał pewności, czy było to znalezisko Brazela, czy też coś innego. Porter w wywiadzie udzielonym w połowie lipca 1979 roku potwierdził to, co mówiła siostra i dodał, że ów ładunek eskortowany był przez wojskowego przydzielonego do tego zadania w Roswell.

Starsza siostra Brazela, Lorraine Ferguson, mieszka w Captain (stan Nowy Meksyk) i mimo swych osiemdziesięciu trzech lat jest bardzo żywotną kobietą, która nie ma żadnych kłopotów z pamięcią. Kiedy Moore odwiedził ją w czerwcu 1979 roku, w wielkim, charakterystycznym dla Dzikiego Zachodu, kapeluszu przeciwsłonecznym gracowała właśnie ogród otaczający jej dom. W krótkiej rozmowie poprzedzającej wywiad powiedziała Moore'owi, że kuzynem jej ojca był Wayne Brazel – człowiek, który zabił Pata Garetta, a wcześniej zdobył znaczną sławę jako ten, z którego ręki padł Billy the Kid.

– Dlaczego William Brazel nosił przydomek Mac?

– Nazywaliśmy go tak, ponieważ jako dziecko był podobny do prezydenta McKinleya.

– Czy pamięta pani opowieść o tym, jak coś rozbiło się na farmie Maca w Coronie?

– Oczywiście, że pamiętam, ale Mac był bardzo powściągliwy opowiadając o tym. Powiedział mi, że nie chce żadnego hałasu wokół tej sprawy, ale oczywiście nie dało się go uniknąć. Znalazł jakieś kawałki. Niektóre były pokryte niezwykłym pismem. Mac mówił, że ten materiał przypominał banderole japońskich bądź chińskich sztucznych ogni. Niestety ani on, ani nikt inny nie potrafił odczytać tych napisów. Wszyscy wokół wiedzieli o tym wydarzeniu, ale – o ile mi wiadomo – nikt nigdy nie

zidentyfikował tych przedmiotów ani też nie określił ich przeznaczenia. Początkowo twierdzono, że to balon meteorologiczny, ale to nieprawda. Mac nigdy nie lubił być w centrum uwagi, więc unikał rozmów na ten temat. Ludzie z Air Force oczywiście także kazali mu milczeć.

Temat niezwykłych piktogramów na skrawkach folii, będących częścią UFO, które na pierwszy rzut oka mogły sprawiać wrażenie pozaziemskiego przekazu, powrócił ponownie w wywiadzie udzielonym w lipcu 1979 roku przez Bessie Brazel Schreiber, córkę Maca Brazela. Choć miała wtedy zaledwie dwanaście lat, katastrofa dziwnego obiektu na farmie ojca wywarła na niej wielkie wrażenie. Opisała wrak jako:

„Wiele szczątków rozrzuconych po całym pastwisku. Były one podobne do kawałków lekko woskowanego papieru lub czegoś w rodzaju folii aluminiowej. Niektóre z nich były pokryte jakimiś cyframi lub literami, ale nikt nie potrafił ich odczytać. Na niektórych była przyklejona jakaś taśma, której nie można było oderwać. Wszystkie te kawałki były bardzo lekkie. Było ich bardzo dużo”.

– Co się wydarzyło kiedy pani ojciec zabrał część swego znaleziska do miasta, by pokazać je władzom?

– Pojechaliśmy z nim do Roswell, ale na spotkanie z tymi ludźmi ojciec poszedł sam. Najpierw do biura szeryfa, ale stamtąd odesłano go do wojska. Rozmawiali tam z ojcem przez cały dzień. Następnego dnia spędziliśmy z wojskowymi i dziennikarzami. Zakazano nam o tym rozmawiać. Zakaz ten nie podlegał dyskusji.

– Czy pamięta pani, jak wyglądały te tzw. napisy?

– Tak, pamiętam. Wyglądały jak cyfry. Tak mi się wydawało. Jednak nie przypominały znaków używanych przez nas. Sądzę iż to, że były uszeregowane w kolumny podsunęło mi myśl, że są to cyfry.

– Czy te przedmioty mogły być pozostałością balonu?

– Nie, to z całą pewnością nie był balon. Widzieliśmy wiele balonów meteorologicznych zarówno na ziemi, jak i w powietrzu. Znaleźliśmy – nawet kilka takich balonów w stylu japońskim, które spadły kiedyś w tej okolicy. Wcześniej znajdowaliśmy także gumowe balony zawierające różne przyrządy. To co znaleźliśmy wtedy nie przypominało żadnego z nich. Nigdy przedtem ani potem nie widziałam czegoś podobnego. Później, po przeszukaniu terenu przez wojsko, nie znaleźliśmy już żadnych kawałków. Wojsko dokładnie wszystko wyczyściło.

Godna rozważenia jest kwestia skutków wywiadu udzielonego przez Brazela Radiu KGFL w Roswell. Wywiad ten przeprowadzał (prawdopodobnie na żywo) W. E. Whitmore, będący wtedy właścicielem tej rozgłośni. Chciał rozpowszechnić tę informację wśród innych stacji radiowych. W. E. Whitmore już nie żyje, ale jego syn Walt Whitmore pamięta, że ojciec ukrył Brazela w ich domu, by zapewnić sobie wyłączność. W kilku momentach tego wywiadu wojsko – jak twierdzi Walt Whitmore – „dostawało szału”, bo nie mogło zlokalizować farmera, który znalazł ów latający spodek.

Kiedy Whitmore senior nagrał tę opowieść i próbował przekazać ją innym, nie mógł uzyskać połączenia. Wstępny komunikat zaczął więc nadawać lokalnie przez KGFL. W tym momencie bezpośrednie połączenie uzyskał człowiek nazwiskiem Słowie, który przedstawił się jako sekretarz Federacji Komisji Komunikacyjnej w Waszyngtonie. Tonem nie dopuszczającym żadnej dyskusji poinformował Whitmore'a, że sprawa dotyczy bezpieczeństwa narodowego i jeśli Whitmore'owi zależy na licencji radiowej, to natychmiast zakończy tę transmisję i zapomni, że kiedykolwiek o tym słyszał. Podczas gdy Whitmore, teraz już utwierdzony w przekonaniu, że trafił na trop czegoś, co ma związek z kosmosem, zastanawiał się, jaką podjąć decyzję, otrzymał drugi telefon z Waszyngtonu – tym razem ze szczebla senatorskiego. Dzwonił reprezentujący stan Nowy Meksyk senator Chavez, który wówczas pełnił funkcję przewodniczącego jednej z bardzo ważnych komisji Senatu. Chavez przekonywał Whitmore'a sr, że najlepiej będzie, jeśli zrobi to, co radził mu Słowie i podporządkuje się zarządzeniu FCC. Whitmore skwapliwie zastosował się do tej sugestii.

Whitmore jr powiedział, że nie widział miejsca katastrofy przed „wyczyszczeniem” go przez Air Force, ale oglądał szczątki przywiezione przez farmera do miasta. Zapamiętał je jako kawałki cienkiej, ale bardzo mocnej substancji przypominającej folię. Powiedział też, że wśród tych szczątków było kilka małych belek, które mogły być zrobione z drewna lub czegoś, co przypominało drewno. Na niektórych z tych przedmiotów znajdowały się znaki wyglądające jak cyfry, które były albo mnożone, albo dodawane. Przypomina sobie również, że jego ojciec pojechał buickiem na miejsce zdarzenia, ale został zawrócony przez uzbrojonego żandarma. Kilka innych

osób z miasta także próbowało się tam dostać, jednak wszyscy zostali zatrzymani przez żandarmów, którzy informowali ich, że teren został zamknięty z powodu tajemniczej „sprawy najwyższej wagi”.

Kilka dni później Whitmore jr zaryzykował i pojechał jeszcze raz w tamto miejsce. Stwierdził, że liczący blisko dwieście jardów fragment pastwiska „wywrócono z korzeniami”. Oto jego słowa:

„Wszystko zostało dokładnie wymiecione. Air Force przeszukiwały teren przez dwa dni. Słyszałem, że szczątki wraku próbowano złożyć w Roswell, a potem zabrano je do bazy Wright-Patterson. Żadna z osób, z którymi rozmawiałem nie wiedziała co to było, ale mówiono także o latającym spodku”.

Dodał, że największy kawałek, jaki widział, miał około pięć cali kwadratowych i że przypominał folię nie dającą się ani przeciąć, ani rozerwać. Ów kawałek był też nadzwyczaj lekki.

Opierając się na informacjach, które uzyskaliśmy dotychczas, możemy pokusić się o próbę zrekonstruowania zdarzenia: 2 lipca 1947 roku między godziną 21.45 a 21.50 coś, co wydawało się latającym spodkiem, przeleciało nad Roswell kierując się – jak zeznali państwo Wilmotowie – z bardzo dużą szybkością na północny zachód. Gdzieś na północ od Roswell spodek wpadł w burzę (o której mówił Brazel) zmieniając kurs na południowy zachód. Został rażony piorunem, przez co uległ różnym uszkodzeniom. Dużo kawałków pojazdu spadło na ziemię, ale uszkodzonemu spodkowi udało się pozostać w powietrzu przynajmniej do czasu zanim – lecąc nad górami – nie uderzył z dużą siłą w ziemię na terenie znanym pod nazwą Plains of San Agustin, położonym na zachód od Socorro. Szczątki, które spadły na farmę Brazela, zostały odkryte następnego ranka, gdy Brazel przejeżdżał przez pastwisko, a jedyną osobą, którą zaalarmował był major Marcel z bazy sił powietrznych w Roswell. Jeśli chodzi o sam spodek i jego załogę, to przypadkowo upadł on niedaleko miejsca, gdzie Barnett skierowany był do pracy i gdzie studenci archeologii mieli rozpocząć wykopaliska.

Po drugiej stronie Plains of San Agustin, w okręgu Catron, wojsko przejęło sprawę znacznie szybciej niż w pierwszym wypadku, w którym opóźnienie spowodowane zostało upływem czasu, jaki minął od chwili znalezienia fragmentów wraku do momentu zgłoszenia tego władzom. Choć zdarzenia w San Agustin miały miejsce kilka dni przed tymi na farmie Brazela i w Roswell, przecieki informacji z San Agustin były tamowane bardziej skutecznie, zaś wiadomości docierające do mediów miały bardzo ogólnikowy charakter. W rezultacie, choć pierwsza ingerencja wojska w obieg informacji na ten temat nie pochodziła z bazy w Roswell, meldunki radiowe i prasowe (ku zakłopotaniu dowództwa bazy) zdawały się wskazywać, iż Roswell było jedynym miejscem zdarzenia, w czym mógł też utwierdzać komunikat opracowany dla prasy przez Hauta. Można by oczywiście rozważać i to, czy Haut nie rozpowszechnił swego oświadczenia dla prasy właśnie po to, by odwrócić jej uwagę od wydarzenia w San Agustin. Wszystko wskazuje na to, że do San Agustin przybyła specjalna grupa z bazy sił powietrznych w Alamogordo, a stopień utajnienia tego co zdarzyło się w San Agustin był dużo większy niż stopień utajnienia wydarzenia w Roswell.

Jeśli tak, to łączność wojskowa na najwyższym szczeblu była doskonale zorganizowana, pospiesznie zmontowana specjalna wojskowa ekspedycja naukowa, o czym mówi jeden z jej uczestników, mogła udać się do bazy sił powietrznych w Muroc (stan Kalifornia), by spotkać tam pociąg, który miał przywieźć znaleziony wrak i ciała. Ta militarno-naukowa grupa być może sporządziła pierwszy opis pasażerów spodka i odpowiedziała na pytanie, czy „oni” byli pechowymi „ziemskimi” pilotami-oblatywaczami, czy też podróżnikami z innego świata, którzy swe przeznaczenie znaleźli na naszym.

5. OBCY

Meade Layne, dziś już nieżyjący, był dyrektorem Borderland Sciences Research Foundation w Vista (stan Kalifornia), zrobił kilka notatek (prawdopodobnie w roku 1949) związanych z doniesieniami o latających spodkach. Jego zapiski udostępnił autorom Reill Crabb, obecny dyrektor tej fundacji.

W swych notatkach Layne stwierdził, że „na podstawie posiadanych informacji” uznał zdarzenie w Roswell za autentyczne. Skonstatował on, że:

Większość danych pochodziła od trzech informatorów. Dwaj z nich byli wybitnymi naukowcami, trzeci zaś – biznesmenem o bardzo wysokiej pozycji. Jeden z naukowców, doktor Weisberg, profesor fizyki w uniwersytecie w Kalifornii, widział ten dysk na własne oczy i badał go. Twierdzi, że dysk przypominał skorupę żółwia. Kabina miała średnicę około piętnastu stóp. Ciała sześciu pasażerów były osmalone, a wewnątrz dysku – bardzo zniszczone przez silny żar. Iluminator został roztrzaskany.

Autopsja jednego z ciał wykazała, że było ono podobne do ciała ludzkiego – różniło się jedynie wzrostem.

Jedna z istot siedziała przy czymś, co wyglądało jak pulpit sterowniczy z umieszczonymi w nim różnymi „gadżetami”. Sufit i ściany pokryte były nieznanym pismem. Badający pojazd naukowcy stwierdzili, że napisy z całą pewnością nie były sporządzone w języku rosyjskim. Pojazd nie miał śmigła ani silnika i żadna z osób badających dysk nie mogła zrozumieć, w jaki sposób go pilotowano lub kontrolowano. Najbardziej prawdopodobne wydawało się to, że pojazd zniszczony został przez żar lub tarcie w atmosferze...

W innym oświadczeniu doktora Weisberga zawarta jest sugestia dotycząca sposobu, w jaki badany obiekt dotarł do miejsca przeznaczenia – należącej do Air Force bazy Edwards. Doktor Weisberg twierdzi, że obiekt został przywieziony ciężarówką do Magdaleny w okręgu Guadelupe, a następnie przez Topekę i Santa Fe, potem zaś w największej tajemnicy przez Belen, Grants i Gallup w Nowym Meksyku i dalej przez Flagstaff w Arizonie do Needles i Cadiz w Kalifornii aż do Muroc, gdzie mieści się poligon Edwards.

Choć nie możemy być pewni, który materiał pojechał do Fort Worth, a który do Muroc, oczywiste jest, iż ładunki przekazano w dwu kierunkach: dysk i jego pasażerów przewieziono do Muroc, a niezwykle szczątki do Fort Worth i następnie do Wright Field w stanie Ohio. W połowie lat pięćdziesiątych, przypuszczalnie po obejrzeniu zebranych w Edwards materiałów i ciał przez prezydenta Eisenhowera, krążyły nawet uporczywe pogłoski, że były one zgromadzone pod jednym dachem w budynku określanym jako „budynek 18-A w okręgu B”, w należącej do Air Force bazy Wright-Patterson. Na kierowane do tej bazy prośby o informacje, co mieści się w budynku 18-A odpowiadano, że nie istnieje żaden budynek opatrzony tym numerem. Na początku roku 1978 na skutek pogłosek, które ponownie zaczęły krążyć i z powodu publicznej presji na ujawnienie tego, co dotyczy rozbitego dysku, Air Force przeniosły starannie strzeżone ciała i materiały do specjalnie skonstruowanego i pilnie strzeżonego magazynu w obiektach CIA w Langley (stan Wirginia). Część szczątków przesłano do bazy McDill na Florydzie, gdzie prawdopodobnie materiały te przechowywane są do dzisiaj, ale nie udostępnia się ich do publicznego wglądu.

Następny i raczej niezwykły dowód na to, że odkryto coś rzeczywiście ważnego wiąże się z osobą barona Nicholasa von Poppena, niemieckiego arystokraty wysiedlonego z Estonii. Von Poppen rozwinął system fotograficznej analizy metali; pracował w okręgu Los Angeles jako fotograf przemysłowy, koncentrując się przede wszystkim na przemyśle lotniczym. Zgodnie z oświadczeniami cytowanymi przez Graya Barkera (*UFO Report*, maj 1977), wieloletniego badacza nie zidentyfikowanych obiektów latających i właściciela, jakże właściwie nazwanej, „prasy spodkowej” w Clarksburg (stan Zachodnia Wirginia), von Poppen zatrudniony został przez władze

wojskowe do sfotografowania zniszczonego latającego spodka (od tego czasu określenie „latające spodki” weszło na stałe do potocznego języka).

Podstawowe punkty relacji von Poppena są szokujące. Pewnego bliżej przezeń nie określonego dnia pod koniec lat czterdziestych odwiedzili go dwaj agenci wywiadu wojskowego, którzy zaproponowali mu super-tajne zlecenie fotograficzne za nadzwyczajnie wysokie honorarium. Zlecenie to było obwarowane klauzulą, że von Poppen zostanie natychmiast deportowany, jeśli ujawni cokolwiek z tego, co będzie fotografował lub co zobaczy. Następnie przewieźli go samolotem do jakiejś bazy lotniczej, którą – jak mu powiedziano – była baza Los Alamos (ale którą mogła być baza Edwards, bo w Los Alamos nie było bazy lotniczej). Tam zaprowadzono go do dużego obiektu, który przypominał latające spodki z popularnych komiksów. Przebywał w tej bazie kilka dni fotografując obiekt. Gdy kończył zdjęcia, filmy wyjmowane były z aparatu przez wojskowych.

Von Poppen wspomina, że wykonał setki fotografii. Powiedziano mu, że w zbliżeniach najważniejsze jest ukazanie struktury metalu. Von Poppen stwierdził, że średnica pojazdu miała około trzydziestu stóp, zaś średnica kabiny – około dwudziestu stóp. Przestrzeń między powłoką zewnętrzną a kabiną wypełniały kable wykonane z nieznanymi metali lub stopów. W głównej kabine znajdowały się cztery miejsca przed pulpitem kontrolnym, który „pokryty był przyciskami i niewielkimi dźwigniami”. Plastikowe arkusze zapisane symbolami leżały rozłożone na pulpicie i na podłodze. Na każdym z czterech miejsc siedzących ciągle jeszcze znajdowały się ciała nieznanymi istot – nadzwyczaj szczupłych, wzrostu od dwóch do czterech stóp (podobieństwo bohaterów filmu „Bliskie spotkania trzeciego stopnia” do tych pozaziemskich istot było uderzające). Cytowany przez Graya Barkera von Poppen stwierdził:

Twarze wszystkich czterech istot były bardzo białe... (Nosili) błyszczące czarne stroje, jednoczęściowe kombinezony bez kieszeni, ciasno opinające ich ciała od stóp do głów. Ich obuwie było wykonane z tego samego materiału i wydawało się bardzo miękkie, niczym nie usztywnione. Ich ręce, delikatne jak ręce dzieci, podobne były do ludzkich. Dłonie miały pięć palców, normalnie wyglądające przeguby i starannie przycięte paznokcie.

Ponieważ von Poppen był zaangażowany do sfotografowania metalu, a nie istot pozaziemskich, odradzono mu przyglądanie się ze zbyt bliskiej odległości niezwykle załodze tego statku. Dopóki von Poppen nie zobaczył niezwykle pasażerów spodka, był przekonany, że jest to supertajny prototyp jakiegoś nowego pojazdu sił powietrznych.

Von Poppen przez kilka dni fotografował statek (ale nie ciała, których sfotografowanie zabroniono mu stanowczo). Ciekawość naukowca okazała się znacznie silniejsza niż obawa przed skutkami złamania zakazu zabrania czegokolwiek na pamiątkę. Mimo wszystko podjął próbę zabrania czegoś z pojazdu, ale został „zdradzony” przez system alarmowy i natychmiast usunięty z obiektu. W końcu z owej strefy identyfikowanej jako Los Alamos odwieziono go pod eskortą do Los Angeles. Nim opuścił bazę dotarły do niego pogłoski, że pojazd ma być przewieziony do bazy Wright-Patterson w Ohio.

Mimo że nie udało się von Poppenowi zdobyć choćby najmniejszej części spodka dla dalszych badań i sfotografowania, udało mu się zachować jedną odbitkę: widok ogólny rozbitego spodka. Negatyw przechowywał w dobrze strzeżonej kopercie, która miała być otwarta po jego śmierci lub też – jak sam powiedział – „gdyby coś się z nim stało”.

Von Poppen zmarł w Hollywood latem 1975 roku dożywszy niemal dziewięćdziesięciu lat. Nigdy nie natrafiono na ślad wykonanej przez niego fotografii. Jeśli umieścił ją w jakimś sejfie, to być może ona ciągle jeszcze tam jest. Gdyby jednak fotografia została znaleziona przypadkiem przez jakiegoś urzędnika bankowego, to z całą pewnością nie domyśliłby się on co przedstawia.

Len H. Stringfield, dyrektor do spraw reklamy Du Bois Chemicals w Cincinnati, jest długoletnim wytrwałym badaczem nie zidentyfikowanych obiektów latających i autorem *Situation Red, The UFO Siege* (Doubleday 1977). W wywiadzie udzielonym Moore'owi w lipcu 1979 roku stwierdził, że jego zięć Jeffry Sparks, docent teatrologii w St. Leo College w Dade City, rozmawiał z osobą, która utrzymywała, iż pewnego razu w roku 1966 w bazie Wright-Patterson należącej do Air Force na własne oczy widziała ciała nieznanymi istot humanoidalnych. Sparks przekazał dane tej osoby Stringfieldowi, który długo rozmawiał z nią 5 lipca 1978 roku.

Osoba ta, ze względu na wymogi bezpieczeństwa na własną prośbę ukrywająca się pod inicjałami J. K., zajmuje obecnie wysokie stanowisko w pewnej prywatnej firmie w Tampa na Florydzie. Od 1966 do 1968 roku J. K. służył jako oficer wywiadu wojskowego Nike Missile Air Intelligence w bazie Wright-Patterson.

J. K. utrzymuje, że gdy przebywał w tej bazie widział ciała dziewięciu obcych istot. Ciała te przechowywano w stanie głębokiej hibernacji w dobrze oświetlonym pojemniku z cienkiego szkła. Opisując te istoty określił ich wzrost jako niewielki (około czterech stóp), a kolor skóry jako szary. Budynek, w którym je przechowywano stale był dokładnie strzeżony zarówno wewnątrz, jak i na zewnątrz.

Gdy J. K. oglądał te ciała, powiedziano mu, że było ich w bazie Wright-Patterson nie mniej niż trzydzieści. Choć nie widział tam wtedy żadnego niezwykłego pojazdu, ktoś powiedział mu, że jednak takie pojazdy były zarówno w tej bazie, jak i w Langley oraz w McDill na Florydzie.

J. K. twierdził, że w pewnych bazach wojskowych utrzymuje się w stałej gotowości specjalne dobrze wyszkolone załogi mogące w każdej chwili przenieść się w każdy zakątek Stanów Zjednoczonych, by zabezpieczyć i przejąć każdy nie zidentyfikowany obiekt latający, który się tam pojawi, rozbijając się lub lądując. Oświadczył także, że „od 1948 roku wszystkie wojskowe tajne informacje dotyczące aktywności UFO są umieszczane w centrum komputerowym bazy Wright-Patterson”, a kopie akt przechowuje się w pilnie strzeżonych sejfach wojskowych.

Powyższe oświadczenie potwierdza częściowo Edward Gregory z Livemore (Kalifornia), który pracował w bazie Roswell pod rozkazami porucznika Hauta w roku 1947 (zob. rozdz. 4). Gregory ostatecznie przeniesiony został do 3602 Szwadronu Sił Powietrznych USA, którego zadaniem było badanie tych doniesień o UFO, jakie miały być przekazywane bezpośrednio do dowództwa obrony powietrznej. W wywiadzie udzielonym Stanowi Friedmanowi przez telefon Gregory oświadczył, że istniały doskonale wyszkolone trzyosobowe załogi gotowe w każdej chwili udać się do każdego miejsca, w którym pojawiłoby się UFO. Gregory twierdził, że podczas jego służby w 3602 szwadronie załogi te były kilkakrotnie wzywane do rzekomych katastrof UFO.

Spośród wszystkich badaczy wydarzenia w Roswell Len Stringfield był szczególnie zainteresowany wyglądem pasażerów latającego spodka. Rozmawiał z lekarzami (pragnącymi zachować anonimowość), którzy na początku lat pięćdziesiątych byli powołani przez agencje rządowe i zaangażowani do prac, które można by nazwać nową serią badań, uzupełniającą autopsje z roku 1947. Ta nowa seria badań zarządzona została bądź to w celu porównania wyników, bądź też z powodu ponownego zainteresowania istotami, które – jak utrzymuje Stringfield – były przechowywane w formaldehydzie. Dalsze intensywne badania miały być wykonywane w co najmniej dwóch wielkich centrach medycznych w USA.

Jak twierdzi Stringfield, lekarze różnych specjalności wykonywali badania kolejno, każdy na innym etapie postępowania autopsyjnego. Tak więc nikt nie dysponował wszystkimi danymi.

Pewne informacje pochodzące z kilku źródeł medycznych pozwalają na stworzenie ogólnego obrazu owych nieznanymi istotami humanoidalnymi. Na obraz ten składają się następujące dane:

- Przeciętny wzrost: od trzech i pół do czterech i pół stopy.
- Głowa – w porównaniu z proporcjami ciała ludzkiego – zbyt duża w stosunku do korpusu i kończyn.
- Głowa i ciało nieowłosione (choć niektórzy informują o lekkim meszku na czaszce).
- Oczy duże, głęboko osadzone, niemal zapadnięte, szeroko rozstawione, lekko skośne.
- Brak małżowin usznych i jakichkolwiek zewnętrznych części poza szczelinami po obu stronach głowy.
- Nos bezkształtny, widoczny tylko dzięki lekkiej wypukłości.
- Usta w kształcie małej szczeliny, prawdopodobnie nie pełniącej funkcji otworu gębowego, stanowiącego początek przewodu pokarmowego. Informatorzy Stringfielda nie wspominają o zębach.
- Szyja cienka i długa.
- Kończyny bardzo długie, ręce sięgające do kolan.
- Dłonie czteropalczone, pozbawione kciuka, dwa palce środkowe dwukrotnie dłuższe od pozostałych. Wydłużone paznokcie, delikatna błona między palcami.
- Krew w stanie ciekłym, ale w kolorze niepodobnym do koloru krwi ludzkiej ani żadnej innej krwi.

Istnieją zróżnicowane zdania co do organów rozrodczych. Według niektórych źródeł, ciała nie miały odmiennych cech płciowych, według innych były tam ciała zarówno mężczyzn, jak i kobiet,

pod względem płciowym porównywalne z ciałami ludzkimi (Barnett był przekonany, że wszystkie ciała, które widział były ciałami mężczyzn). Stringfield nie miał raportu o organach wewnętrznych.

Wydaje się niemal pewne, że podobne do przytoczonych, niekompletne informacje mogły pochodzić od lekarzy, którzy bali się powiedzieć zbyt wiele, lub od personelu laboratoryjnego, który nie dysponował informacjami wystarczającymi do stworzenia pełniejszego obrazu. Jedyną niezrozumiałą cechą charakterystyczną rasy, która dysponowała wysoko rozwiniętą technologią, były owe cztery palce i brak kciuka chwytanego zasadniczo odróżniającego nas od zwierząt. Chyba że pierwszy z czterech palców był wystarczająco długi i giętki, by służyć jako kciuk. Można też przyjąć, że opis ręki wskazywał na pomyłkę jakiegoś laboranta, który widział długie palce okrywające kciuk i policzył tylko cztery. To mogłoby wyjaśnić wyraźną sprzeczność między informacją Stringfielda a opisem ciał dokonany przez von Poppa. Warto zauważyć, że pasażerowie UFO w filmie „Bliskie spotkania trzeciego stopnia” wydają się odpowiadać opisowi skompilowanemu przez Stringfielda. Ich wygląd nie jest, jak się zdaje, „owocem twórczej wyobraźni artysty”, lecz raczej dowodem na to, że doktor J. Allen Hynek, astronom Northwestern University i dyrektor Centrum Badań UFO, będący konsultantem tego filmu, miał dostęp do różnych raportów i meldunków na temat wyglądu istot pozaziemskich.

Ciała tajemniczych przybyszów opisywane były podobnie w innych, „nieoficjalnych” raportach z kolejnych etapów trasy, którą przebyli pasażerowie latającego spodka, przewożeni z jednej bazy wojskowej do drugiej. Choć opisy te różnią się w szczegółach, w sumie dają obraz wystarczająco pełny, by móc uznać go za rzeczywisty.

Nawet jeśli prawdziwość wielu doniesień wydaje się dyskusyjna, można przyjąć, że charakterystyczne cechy wyglądu pasażerów spodka jak: duże głowy, zanik owłosienia i mięśni, długie kończyny, niski wzrost będą także cechami naszego wyglądu w przyszłości, z której najprawdopodobniej przybyli do nas „obcy”. Trudno bowiem uwierzyć, by te same opowieści pojawiły się w tak wielu miejscach pozornie nie związanych żadnym wątkiem prócz motywu „podróży w śmierć” obcej załogi.

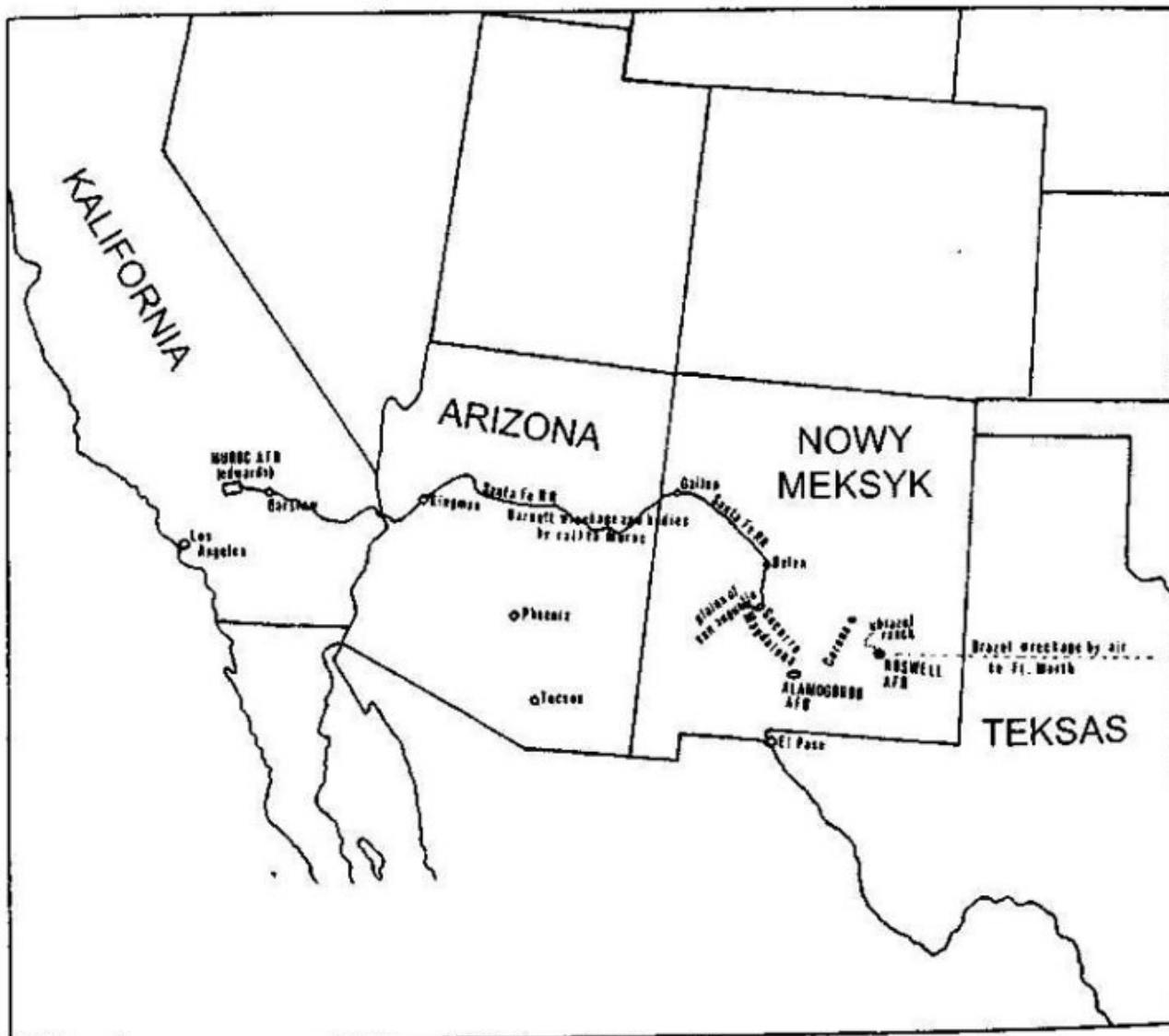
6. „PRZECIEKI”

Mimo wysiłków podejmowanych przez American Air Force, a następnie przez rząd w celu utrzymania całej sprawy (i badań związanych z pojazdem i jego załogą) w ścisłej tajemnicy, stale pojawiały się różne pogłoski na ten temat pochodzące bądź to z należącej do Air Force bazy Edwards, bądź też z kwatery CIA w Langley w stanie Wirginia. Niektóre z tych pogłosek pochodziły od pracowników ochrony, którzy byli przesuwani na inne stanowiska lub odchodzili na emeryturę, a w wyniku refleksji nad tą sprawą sami zwalniali się z nakazu milczenia. Część tych pogłosek potwierdzała wcześniejszą wiedzę, część zaś – przynosiła nowe informacje.

Niemal w tym samym czasie, kiedy miał miejsce incydent w Roswell, narodziła się nadzieja na wyjaśnienie wszystkich związanych z nim tajemnic. Pracujący w Miami na Florydzie Norman Bean, wynalazca, inżynier elektronik i badacz UFO pamięta pewne zdarzenie, które miało miejsce w połowie lat pięćdziesiątych. Po wygłoszonej prelekcji dyskutował z emerytowanym oficerem lotnictwa, pułkownikiem Lake, który powiedział mu, że jego bliski przyjaciel rozmawiał z pewnym lekarzem z Dayton o szczegółach autopsji załogi latającego dysku. Według otrzymanych od pułkownika Lake'a informacji, wewnętrzne organy pasażerów statku były podobne do ludzkich. Pułkownik Lake, świadomy wymogów bezpieczeństwa państwa powiedział, że teraz może już o tym opowiadać w ogólnych zarysach, „ponieważ cała ta sprawa będzie podana do publicznej wiadomości w ciągu kilku miesięcy”. Jednak do tej pory oficjalnie niczego nie odtajniono. Choć liczne, mniej znaczące informacje pojawiały się stale. Niejednokrotnie w szczegółach różniły się nieco, ale w ogólnych zarysach były zgodne. Te poufne informacje pochodzą zazwyczaj od personelu wojskowego przewożącego ciała, od lekarzy przeprowadzających autopsje oraz ich asystentów, a czasem od ludzi, którzy przypadkowo zetknęli się z tym, nie tak znowu wielkim, sekretem.

Przypadkowe spotkanie w pociągu odsłoniło kilka detali, których nie zawierały, bądź też którymi różniły się inne opisy pasażerów latającego spodka. Bill Devlin, pracownik przedsiębiorstwa usług radiowych i telewizyjnych, podróżując wiosną 1952 roku z Filadelfii do Waszyngtonu usiadł na wolnym miejscu obok jakiegoś wojskowego czytającego gazetę filadelfijską. Davlina zainteresował czytany przez żołnierza artykuł o licznie zaobserwowanych UFO nad główną magistralą Filadelfii. Zauważywszy zainteresowanie Davlina (który zaglądał mu przez ramię) wojskowy powiedział: „Widzę, że zaciekał pana ten artykuł. Jeśli jest pan tą sprawą zainteresowany, mógłbym opowiedzieć panu o niej znacznie więcej”. Gdy Davlin przytaknął, wojskowy opowiedział mu, że był jednym z trzech kierowców, którzy przewozili szczątki spodka z miejscowości Aztec w Nowym Meksyku do Fort Riley w Kansas, w konwoju składającym się z trzech ciężarówek. W czasie tej operacji żołnierz widział ciała i zauważył, że były one bardzo małe, wszystkie ubrane w jednakową, ciasno przylegającą, elastyczną odzież. Wszystkie miały ludzkie rysy (łącznie z zębami), a skórę żółtawą i nieco mechata, w dotyku przypominającą brzoskwinie. Niektóre z tych istot sprawiały wrażenie, że są rodzaju męskiego, inne wydawały się mieć cechy budowy kobiecej. Według niego ciało mogło być mniej więcej szesnaście, ale nie wiedział, ile ich było naprawdę.

Choć na pierwszy rzut oka taki opis może się wydawać niewiarygodny, to jednak może być prawdziwy, więc znowu mimo wątpliwości musimy uznać pogłoskę za prawdę. Zgodnie z opowieścią wojskowego, do przewiezienia wraku spodka i jego pasażerów z Muroc do Wright Field użyto trzech zespołów kierowców i konwojentów-strażników, z których każdy był odpowiedzialny za przejazd konwoju jedynie na określonej części trasy przed przekazaniem tych pojazdów następnej grupie w specjalnie wyznaczonym miejscu. Żadna z tych ekip nie знаła szczegółów całego przedsięwzięcia.



Prawdopodobna trasa konwoju wojskowego, którym transportowano szczątki dysku z miejsca katastrofy do Bazy Lotnictwa w Muroc w Kalifornii (W. L. Moore)

Jeśli ta opowieść jest prawdziwa, wtedy kilka innych, niezrozumiałych wcześniej epizodów, zaczyna układać się w całość. U schyłku lat czterdziestych, gdy nie było jeszcze rozbudowanej sieci autostrad międzystanowych, po których mogłyby poruszać się wielotonowe ciężarówki, ludzie planujący przejazdy takich ciężarówek, chcąc uniknąć jazdy przez Rocky Mountains (pasmo górskie w zachodniej części kontynentu) mogli wybrać szlak południowy przez Great Plains do Ohio. Czy to możliwe, że kolejnymi punktami na tej trasie były miejscowości Aztec (stan Nowy Meksyk), Fort Riley (Kansas) i Godman Field (Kentucky)? Cztery punkty – gdy do już wymienionych dodamy jeszcze Muroc – są położone w równych odstępach i w latach czterdziestych miały tę zaletę, iż leżały wystarczająco daleko od drogi, co pozwalało uniknąć zainteresowania osób niepowołanych i niepotrzebnej ciekawości. Ostatni etap podróży – z Godman do Wright Field – mógł być łatwo pokonany przez specjalną grupę z samego Wright Field. Taka interpretacja pozwala wyjaśnić błąd popełniony przez Scully'ego w jego słabo udokumentowanej książce, gdy stwierdzał, że to właśnie Aztec w Nowym Meksyku było rzeczywistym miejscem katastrofy.

Kolejna pogłoska pochodzi z Fort Riley. Tam właśnie funkcjonariusz Żandarmerii Wojskowej (MP) będąc na służbie wartowniczej, w czasie której miał ochraniać jeden z budynków, widział jak przenoszono do tego budynku kilka drewnianych skrzyń, w których znajdowały się ciała pokryte warstwą czegoś, co wydawało mu się suchym lodem. Ciała te mogły mieć około czterech stóp wzrostu. W czasie gdy pełnił służbę, przybył tam jakiś generał z kilkoma oficerami, a przed odjazdem powiedział mu: „Warta nie wiedziała, co to były za ciała, ale później w koszarach

zrozumiano, iż była to załoga dysku, który rozbił się w Nowym Meksyku”.

Wiele informacji „wypłynęło” też z bazy Edwards. Wszystkie były anonimowe. Za dowód ich prawdziwości niech posłuży fakt, że dwaj związani z tą bazą informatorzy konsekwentnie odmawiali nie tylko podania nazwisk, ale nawet nazwy bazy (Edwards), obawiając się, że taka dekonspiracja naprowadzi na ich ślad służby bezpieczeństwa i spowoduje ich aresztowanie. Jeden z żołnierzy pozostający na służbie w Żandarmerii Wojskowej powiedział, że ciała przechowywane w bazie Edwards zostały podzielone na dwie grupy: kilka trzymano w lodzie właśnie w tej bazie, pozostałe zaś przekazano do Waszyngtonu w celu przeprowadzenia dalszych badań. Pewien agent CID (Criminal Investigation Division) mówiąc o „rozbitym UFO przechowywanym w Edwards”, wspominał, że specjalny zespół badawczy studiował ów obiekt przez kilka miesięcy, ale nie mógł poradzić sobie z przecięciem i analizą metalu, by go dokładnie zbadać i zidentyfikować strukturę molekularną.

Według pewnej pogłoski ze „źródła zewnętrznego” dotyczącej miejsca, które mogło być ostatnim przystankiem latającego spodka w kwaterze CIA w Langley (stan Wirginia), wrak ciągle jeszcze tam jest i „IBM wciąż nad nim pracuje, ale nie może rozwikłać zagadki jego funkcjonowania”. Ustalono jedynie, że części konstrukcyjne są ze sobą połączone raczej metodą walcowania niż spawania.

Inny szczegółowy meldunek o obecności materiału w bazie lotniczej Wright-Patterson pochodzi od jej cywilnego pracownika Charlesa Wilhelma, badacza UFO i informatora Lena Stringfielda. Była pracownica bazy, pani Norma Gardner, w roku 1959 z powodów zdrowotnych przeszła na emeryturę i zamieszkała samotnie w Price Hill w stanie Cincinnati. Charles Wilhelm, wówczas nastolatek, pracował jako jej pomocnik i wielokrotnie rozmawiał z nią o swoim zainteresowaniu nie zidentyfikowanymi obiektami latającymi. Pani Gardner, o czym wkrótce się przekonał, dzieliła jego zainteresowania.

Gdy zdrowie pani Gardner się pogorszyło, Wilhelm odwiedzał ją nadal. W czasie jednej z jego wizyt pani Gardner przekazała mu kilka sensacyjnych informacji opartych na jej własnej wiedzy o obiektach UFO i tajemniczych ciałach przechowywanych w bazie. Powiedziała, że gdy pracowała w Wright-Patterson w roku 1955 została skierowana na stanowisko, na którym katalogowano wszystkie nadchodzące do bazy materiały związane z UFO. Musiała tam przestrzegać surowych rygorów bezpieczeństwa. Gdy tam pracowała, przez jej ręce przeszło około tysiąc pozycji, wśród których były także części wnętrza statku przywiezionego do bazy znacznie wcześniej. „Wszystkie te przedmioty – powiedziała – były dokładnie fotografowane i katalogowane”. W roku 1955 była w ściśle strzeżonym hangarze i widziała tam dwa pojazdy przypominające spodki. Jeden z nich był wyraźnie nienaruszony, drugi zaś – zniszczony. Kiedyś widziała jak przewożono na wózku dwa humanoidalne ciała z jednej sali do drugiej. Pani Gardner nie tylko widziała ciała, ale miała dostęp do dokumentacji przeprowadzonych autopsji. Ciała te, przechowywane w jakimś roztworze chemicznym, miały około czterech-pięciu stóp wzrostu. Zasadniczo były podobne do istot ludzkich, z tym wszakże wyjątkiem, że ich głowy wydawały się niewspółmiernie duże do korpusów, a oczy były skośne. Pani Gardner nie wiedziała, czy te ciała były przywiezione z ostatniego wypadku, czy też znalazły się tam po jakiejś wcześniejszej katastrofie.

O swoich doświadczeniach pani Gardner powiedziała Wilhelmowi dopiero wtedy, gdy ciężko zachorowała na nowotwór. Była przekonana, że nie wyzdrowieje i dopiero w tych tragicznych okolicznościach odważyła się złamać obowiązujące ją zakazy i w rozmowie z Wilhelmem stwierdziła boleśnie: „Wujek Sam nic mi nie może zrobić, gdy stoję nad grobem”.

Jedną z najbardziej sensacyjnych pogłosek na temat rozbitego dysku jest ta, która mówi, iż obiekt sprowadzono na ziemię najzupełniej przypadkowo, w czasie przeprowadzania pewnej specjalnej akcji sił lotniczych. Przyczyną tego przypadkowego sprowadzenia na ziemię latającego dysku miała być wzajemna interferencja (kolizja) radarowa.

Sugestię tę wydają się dementować liczne raporty Air Force i FAA, które mówią o takiej sile radarów UFO, że zmusza ona do korekty lotów, i o zdolności nie zidentyfikowanych obiektów latających do szybkiego przemieszczania się w rejony niedostępne dla naszych radarów.

W roku 1956 samolot zwiadowczy typu RB-47, wyposażony dodatkowo w elektroniczny system radarowy, ponad godzinę śledzony był przez UFO nad Zatoką Meksykańską, stanami Missisipi, Luizjaną i Teksasem, a na koniec nad Oklahomą, zanim wreszcie obiekt znikł. Gdyby radar mógł

oddziaływać na nie zidentyfikowane obiekty latające, byłaby to kwestia do rozważenia, chyba że nowe UFO posiadają urządzenia antyradarowe.

Teoria wyzwania, bitwy lub podboju nieustannie obecna i wciąż rozważana na Ziemi, rozszerzana jest przez ziemskich myślicieli na nieznanne obiekty i ich ewentualne intencje. Można ją stosunkowo łatwo wyjaśnić zarówno rosnącą liczbę zaobserwowanych pojawień się UFO, jak i liczne pozaziemskie osobliwości, które ukazywały się w White Sands oraz to, jak dalece mieszkańcy pewnej względnie dużej planety rozwijali swe umiejętności rozpętywania, dla dobra lub zła, ukrytych sił wszechświata.

I właśnie dlatego wydaje się nieprawdopodobne, by UFO z Roswell zostało sprowadzone na ziemię przez jakiegokolwiek przypadkowe bądź celowe działanie naszych sił zbrojnych. Znacznie bliższe prawdy jest przypuszczenie, że dysk ten został trafiony piorunem, na co wydaje się wskazywać opowieść Brazela. Pośpiech, z jakim Air Force przybyły na teren wypadku w San Agustin daje się łatwo wytłumaczyć faktem, że zarówno radar w White Sands, jaki znajdujący się w powietrzu wojskowy albo cywilny samolot, mogły zauważyć ten spadający poprzedniej nocy obiekt i przypuszczać, że był to konwencjonalny pojazd, nad którym załoga utraciła kontrolę i miała trudności z nawiązaniem łączności. Pierwsi wojskowi mogli być częścią załogi ratowniczej skierowanej w to miejsce przez jakiś samolot obserwacyjny. Kiedy zdali sobie sprawę z tego co znaleźli, wiadomość o odkryciu – niczym fala na stawie, do którego wrzucono kamień – zaczęła zataczać coraz szersze kręgi i docierać coraz dalej: z bazy przez cały stan, a potem do całego kraju i świata, zanim dowództwo nie podjęło decyzji, która miała przekonać wszystkich, że w ogóle nie stało się nic niezwykłego.

Przedstawione tutaj wiarygodne i niewiarygodne pogłoski, plotki, „pewne” doniesienia i przekazywane z ust do ust opowieści, choć wydają się fantastyczne, często potwierdzają pierwsze, jeszcze nie ocenzone, doniesienia radiowe i prasowe. Podobnie zeznania świadków. Wszystkie te relacje, pogłoski i opowieści przez całe lata incydent w Roswell „utrzymują” przy życiu. W roku 1954 przyciągnęły one uwagę kogoś, kto uosabiał „największą siłę”. Ten ktoś miał rzeczywiście wystarczające możliwości, by coś z tym zrobić. Tym kimś był Dwight E. Eisenhower, prezydent Stanów Zjednoczonych.

7. PREZYDENT I UKRYWANY SPODEK

General Eisenhower dzięki swoim wojskowym kwalifikacjom był niewątpliwie bardziej świadomy znaczenia wywiadu niż inni prezydenci (którzy mieli pewne doświadczenie wojskowe, ale nie byli zawodowymi wojskowymi), bardziej interesował się potencjałem wywiadu wojskowego i z pewnością bardziej go doceniał. Już w czasie swojej pierwszej kadencji prezydenckiej Eisenhower sięgał po informacje na temat autentyczności roswellovskiego spodka.

Jednym z pierwszych problemów Eisenhowera – co podkreślił były pracownik CIA wysokiego szczebla (który chce pozostać anonimowy) – stało się wstrząsające (można by je nazwać nawet przerażającym) odkrycie, że choć był on prezydentem i generałem armii, to nie otrzymał niezbędnych zezwoleń, które umożliwiłyby mu dotarcie do tych informacji.

W tym czasie agencje wywiadowcze miały nieograniczone prawo nadzoru i kontroli, niektóre informacje mogły być przez jakiś czas ukrywane nawet przez prezydentem. Według pewnego anonimowego źródła: „niektóre z najwyższych figur wywiadu nie ufały Ike'owi i niechętnie współpracowały z nim. Ci ludzie najczęściej zmieniali wtedy temat i albo «zapominali» o rozkazach z Białego Domu, albo je ignorowali”.

Pogłoski o rozbitym spodku dotarły do Eisenhowera i podjął on w tej sprawie pewne działania. Według najlepiej poinformowanych źródeł, do jakich udało nam się dotrzeć, nie dziwił fakt, że napotkał on opór w tej sprawie i rozłam w wojskowym establishmentie. Nietrudno wyobrazić sobie argumenty przeciwników odtajnienia tego wydarzenia: lepiej trzymać je w tajemnicy ze względu na bezpieczeństwo narodowe, które jest znacznie ważniejsze niż naukowe badania nad istotami pozaziemskimi. Gdyby komuś udało się rozpracować zasadę działania dysku i sposób manewrowania, to mógłby wykorzystać tę wiadomość do rozwoju systemu przenoszenia pocisków i zająć w tej dziedzinie przodującą pozycję w świecie.

Rozważając kwestię roswellovskiego spodka w takim właśnie kontekście bardziej zrozumiała staje się powściągliwość władz wojskowych nie kwapiących się do przyznania, że w Roswell zdarzyło się coś, co wskazuje na to, że na Ziemi przybywają nie zidentyfikowane pozaziemskie obiekty latające. Według cenzury, zabraniającej rozpowszechniania informacji o nie zidentyfikowanych obiektach, na wieść o istnieniu konkretnych dowodów obecności UFO na Ziemi społeczeństwo wpadłoby w panikę. Czy społeczeństwo wpadłoby w panikę, czy też nie – trudno przewidzieć. Być może poważne zainteresowanie części społeczeństwa zjawiskiem UFO byłoby korzystne. Z pewnością nauczylibyśmy się o nim czegoś więcej. Jednak z drugiej strony, jeśli nie zidentyfikowane pojazdy latające mogą przynieść jakieś korzyści wojskowe, to powinny być otoczone tajemnicą tak długo, dopóki ich konstrukcja i zasady działania nie zostaną wykorzystane przez jakieś, najlepiej nasze, mocarstwo. Właśnie z tych powodów supermocarstwa wprowadzają ostrą cenzurę na informacje o UFO, podczas gdy inne kraje pozwalają na drukowanie oficjalnych doniesień o spotkaniach z UFO w powietrzu i na wodzie oraz o dziwnych obiektach obserwowanych przez powietrzne i morskie statki patrolowe. Te kraje to między innymi: Argentyna, Chile, Urugwaj, Kolumbia, Meksyk, Hiszpania, Włochy, Szwecja, Norwegia, Australia, Nowa Zelandia i ostatnio w coraz większym stopniu – Kanada.

Kanada coraz częściej styka się z problemem UFO z powodu sąsiedztwa ze Stanami Zjednoczonymi, które są celem bardzo aktywnej działalności istot pozaziemskich. Stale wzrasta liczba meldunków o zaobserwowanych tam pojawieniach się UFO, obiektach z pewnością nie uznających granic. Notatka z 21 listopada 1950 roku adresowana do kanadyjskiego ministerstwa transportu, a wysłana przez W. B. Smitha dowodzi, że zainteresowanie Kanady działaniami rządu USA związanymi z UFO zaczęło się wkrótce po wydarzeniu w Roswell.

Wilbert B. Smith, starszy inżynier radiowy w ministerstwie transportu i przewodniczący

ministerialnej sekcji transportu i pomiarów, wchodził w skład kanadyjskiej delegacji na odbywającą się w 1950 roku w Waszyngtonie konferencję NARB (National Association of Radio Broadcasting). Smith zainteresowany był przede wszystkim badaniami nad możliwościami źródeł sił wykorzystujących pole magnetyczne na ziemi. Oto fragmenty tej dawniej „ściśle tajnej” notatki, którą dopiero 15 września 1969 roku przeklasyfikowano na „poufną”:

...Wierzmy, że jesteśmy na tropie czegoś, dzięki czemu możemy zaznajomić się z odmienną technologią. Istnienie innej technologii jest udowodnione dzięki prowadzonym obecnie badaniom nad latającymi spodkami.

W czasie konferencji NARB w Waszyngtonie ukazały się dwie książki: pierwsza zatytułowana *Behind the Flying Saucers* autorstwa Scully'ego i druga *The Flying Saucers Are Real*, którą napisał Don Keyhoe. Obie książki zajmują się pojawieniami się UFO, a ich autorzy twierdzą, że latające obiekty były pojazdami pozaziemskimi – kosmicznymi statkami z innych planet.

Wydaje mi się, że nasze własne prace w dziedzinie geomagnetyki mogłyby zostać wzbogacone o informacje na temat UFO posiadane przez wywiad amerykański.

Wśród personelu ambasady kanadyjskiej przeprowadziłem dyskretny wywiad, który dostarczył mi następujących informacji:

- a. Sprawa ta jest przez rząd USA najbardziej utajnionym tematem. Pod względem tajności zaklasyfikowana jest wyżej niż bomba wodorowa (dopisek autora: do skonstruowania bomby wodorowej były jeszcze dwa lata, pierwsza eksplozja dokonana została w roku 1952).
- b. Latające spodki istnieją.
- c. Zasada ich działania nie jest znana, ale mała grupa, którą kieruje dr Vannevar Bush prowadzi intensywne badania.
- d. Władze USA uważają tę sprawę za niezwykle ważną.

Z tą notatką ściśle związany jest dołączony do niej list, opatrzony datą 15 września 1969 roku i zmieniający jej klasyfikację ze „ściśle tajnej” na „poufną”, zawierający zdanie, że „ta informacja nigdy nie powinna być udostępniona do publicznej wiadomości”.

Prezydent Eisenhower, niewątpliwie zdumiony rosnącym zainteresowaniem tematyką UFO w kręgach rządowych, jak każdy oficer miał doświadczenie w ocenianiu wartości meldunków. Był zainteresowany poznaniem prawdy o tajemniczym spodku przechowywanym w bazie Edwards.

Według meldunków, które zawierały jeden szczegółowy raport, prezydent Eisenhower zobaczył materiały przechowywane w Muroc, a było to 20 lutego 1954 roku.

Prezydent Eisenhower przyjechał do Kalifornii w połowie lutego na wakacje golfowe i zatrzymał się na farmie swojego przyjaciela Paula Roya Helmsa. Tych, którzy twierdzą, że wakacje Ike'a były pretekstem do jego tajnej wizyty w Muroc, z pewnością zainteresuje fakt, że zaledwie tydzień wcześniej prezydent wrócił z golfowego urlopu w Georgii. Warto także odnotować, że Muroc leży niezbyt daleko od Palm Springs, gdzie prezydent zwykł się zatrzymywać i że wizyta w Muroc byłaby możliwa, gdyby tylko prezydent mógł zniknąć z pola widzenia prasy choćby na jeden dzień.

20 lutego Eisenhower istotnie pojechał gdzieś sam, bez prezydenckiej świty, a w każdym razie bez dziennikarzy, którym po prostu zniknął z oczu. Późnym wieczorem wśród dziennikarzy zaczęły krążyć pogłoski, że prezydent nie pojawił się tam, gdzie go oczekiwano, że albo opuścił farmę Smoke Tree, albo coś się z nim stało.

Zaniepokojeni dziennikarze uzyskiwali zapewnienia z oficjalnych źródeł, że wszystko jest w porządku, więc pozbyli się złych domysłów. Napięcie ponownie wzrosło, gdy kilku reporterom udało się z poufnych źródeł zdobyć informację, że sekretarz prasowy prezydenta James Haggerty został pilnie wezwany na farmę Smoke Tree, aby napisać tam jakieś oświadczenie. Powstrzymane emocje i spekulacje wybuchły z całą siłą.

Gdzie naprawdę był prezydent? Nikt nie wiedział tego na pewno. Merriman Smith z United Press, doszedłszy do wniosku, że Eisenhowerowi przytrafiła się jakaś nagła niedyspozycja zdrowotna, depeszował, że prezydenta zabrano z farmy w celu zapewnienia mu właściwej opieki medycznej. Korespondent Associated Press w depeszy do Nowego Jorku posunął się jeszcze dalej: napisał, że Ike umarł, co natychmiast musiał sprostować, gdyż sekretarz prasowy Haggerty pojawił się naprawdę wściekły.

W pokoju prasowym hotelu Mirador, w zgiełku nazwanym przez *Time'a* „erupcją zbiorowej hysterii dziennikarskiej”, Haggerty uroczyście zapewniał, że całe zamieszanie spowodowane było

tym, iż prezydentowi – gdy jadł kurze udko – spadła koronka z zęba, i że jego gospodarz, Paul Helms, zabrał go do miejscowego dentysty w celu naprawienia nieszczonej koronki.

Dziennikarze przyjęli to do wiadomości, ale plotki wciąż się mnożyły. Czy Ike naprawdę był u dentysty, czy też historyjkę tę wymyślono dla zakamuflowania i ukrycia przed prasą tego co robił naprawdę? Przynajmniej jedna uporczywa (choć dementowana) pogłoska mówiła, że powód zniknięcia Ike'a był całkiem inny. Tym innym powodem miało być podobno coś „nie z tego świata”! Według tej wersji historyjka o zębie była zmyślona, w rzeczywistości w najściślejszej tajemnicy zabrano go do położonej nieopodal Smoke Tree bazy Edwards, by zobaczyć szczątki rozbitego dysku lub dysków i przechowywane tam ciała istot – pilotów owych dysków.

Meade Layne, wówczas dyrektor Borderland Sciences Research Associates (obecnie Borderland Sciences Research Foundation), także słyszał te pogłoski, ale nie przywiązywał do nich zbyt wielkiej wagi, aż do chwili, gdy trzy miesiące później, 16 kwietnia 1954 roku, otrzymał sensacyjny list od jednego z członków tego stowarzyszenia – Geralda Lighta z Los Angeles. W liście tym Light informował go, że spędził około 48 godzin w bazie Edwards, przebywając tam z trzema innymi osobami: dziennikarzem Franklinem Allenem z prasy Hearsta, finansistą Edwinem Noursem z Brookings Institute i biskupem (późniejszym kardynałem) Jamesem F. A. McIntyre'em z Los Angeles i widział przynajmniej pięć statków powietrznych różnego typu, które były badane przez wojskowych naukowców i urzędników. Light był wstrząśnięty tym co zobaczył, swoją reakcję określił jako „wyraźne uczucie, że świat doszedł do końca z ekscentrycznym realizmem”. Oto jego list:

Gerard Light
10545 Scenario Lane
Los Angeles, California
(list nadszedł 16 kwietnia 1954)
Mr Meade Layne San Diego, California

Mój drogi Przyjacielu, właśnie wróciłem z Muroc. Ten meldunek jest prawdziwy – wstrząsająco prawdziwy!

Odbyłem tę podróż w towarzystwie Franklina Allena z koncernu prasowego Hearsta, Edwina Nourse'a (z Brookings Institute), który pełnił niegdyś funkcję finansowego doradcy Trumana i biskupa McIntyre'a (sic!) z Los Angeles (zachowaj na razie w tajemnicy jego nazwisko).

Kiedy po około sześciu godzinach (w czasie których byliśmy dokładnie sprawdzani, także nasze życie osobiste i działalność publiczna) pozwolono nam wejść do silnie strzeżonej sekcji, doznałem wyraźnego uczucia, że świat zmierza do końca z ekscentrycznym realizmem. Nigdy przedtem nie widziałem tak wielu ludzi kompletnie oszołomionych i zakłopotanych, gdy uświadomili sobie, że ich własny świat rzeczywiście kończy się ostatecznie. Realność statków powietrznych z „innej przestrzeni” od dzisiaj na zawsze już wyszła ze sfery spekulacji stając się, raczej bolesną, częścią świadomości każdego odpowiedzialnego naukowca i polityka.

Podczas mojej dwudniowej wizyty widziałem pięć różnego typu statków powietrznych badanych przez specjalistów naszego lotnictwa w obecności i za zgodą Istot Nieziemskich! Brak mi słów by wyrazić moje wrażenie.

To się naprawdę wydarzyło. Teraz jest to fakt historyczny.

Jak już pewnie wiesz, prezydent Eisenhower podczas swego niedawnego pobytu w Palm Springs zapragnął spędzić jedną noc w Muroc. Jestem przekonany, że zlekceważy on okropny konflikt między różnymi „autorytetami” i dotrze wprost do społeczeństwa za pośrednictwem radia i telewizji, jeśli impas ten trwać będzie nadal.

O ile mogę się domyślać – oficjalne oświadczenie jest przygotowywane do ogłoszenia mniej więcej w połowie maja. Pozostawiam twoim własnym znakomitym umiejętnościom dedukcyjnym wyobrażenie sobie właściwego obrazu tego intelektualnego i emocjonalnego pandemonium, które niweczy autorytet setek naszych naukowców i ekspertów w rozmaitych wyspecjalizowanych dziedzinach, jakie tworzą naszą współczesną fizykę. W kilku wypadkach odczułem żal, gdy obserwowałem niesłychane wprost poruszenie wśród tych skądinąd wspaniałych umysłów usiłujących znaleźć jakieś racjonalne wytłumaczenie, które pozwoliłoby im podtrzymać znane teorie i twierdzenia. Byłem wdzięczny memu własnemu przeznaczeniu, które dawno temu skierowało mnie ku metafizyce i zmusiło do poszukiwania własnej drogi. Obserwowanie wielkich umysłów, które kurczą się z obawy przed zjawiskami, których nie można wytłumaczyć zgodnie z posiadaną wiedzą, nie jest przyjemne. Pojawianie się i odchodzenie jakiegoś eterycznego ciała stało mi się tak bliskie przed wieloma laty, że zapomniałem, iż taka

manifestacja mogła zakłócić równowagę jakiegoś człowieka, nie przygotowanego na to tak jak ja.
Nigdy nie zapomnę tych czterdziestu ośmiu godzin w Muroc.

G. L.

Przyjmując, że ten list nie jest żartem, warto zwrócić uwagę na kilka zagadnień, wśród których wcale nie najmniej ważne jest pytanie, kim był Gerard Light i co robił w bazie Edwards wraz z owymi trzema dobrze znanymi postaciami, które wymienia. O samym Gerardzie Lightcie niestety nie wiadomo nic oprócz tego, że Meade Layne, adresat cytowanego listu, opisał go kiedyś w jakiejś pierwszej publikacji BSRF jako „utalentowanego i bardzo dobrze wykształconego wykładowcę”, który lubił parać się jasnowidztwem i okultyzmem. Dodatkowe poszukiwania przyniosły też informację, że jakiś Gerard Light na początku lat pięćdziesiątych zatrudniony był jako dyrektor reklamy i sprzedaży promocyjnej w CBS Columbia – w dziale produkcyjnym Columbia Broadcasting System. Nie ma jednak jasnej odpowiedzi na pytanie, czy był to ten sam Gerard Light. Reilly Crabb, obecny dyrektor BSRF, powiedział jedynie, że słyszał, iż Light zmarł kilka lat temu.

Jeśli chodzi o trzech innych mężczyzn wymienionych w liście Gerarda Lighta to Crabb powiedział mi, że wie o kilku próbach, jakie podejmowano przez całe lata, by nawiązać z nimi kontakt, ale żaden z nich nie tylko nie chciał rozmawiać o tej sprawie, ale nawet potwierdzić odbioru listu dotyczącego tego tematu. Ponieważ Allen, Nourse i kardynał McIntyre już nie żyją, tajemnica ta prawdopodobnie nigdy nie będzie wyjaśniona.

Najbardziej interesujące w liście Lighta jest stwierdzenie, że „prezydent Eisenhower zapragnął spędzić jedną noc w Muroc podczas swego niedawnego pobytu w Palm Springs”, pozostające w całkowitej rozbieżności z wygłoszonym przez sekretarza prasowego oświadczeniem o „udku kurczenia”, które miało być przyczyną zniknięcia Ike'a na jedną noc 20 lutego.

Jeśli rzeczywiście Eisenhower udał się jedynie do dentysty, to dlaczego tak długo milczano na ten temat i wielokrotnie podawano z farmy Smoke Tree oficjalne komunikaty, że wszystko jest w porządku. Gdyby opowieść o dentyście była prawdziwa, to można by poinformować o tym dziennikarzy od razu, a pogłoski o zniknięciu prezydenta zostałyby natychmiast zdementowane. Wypróbowanemu „wszystko w porządku” zastosowanemu na samym początku zaprzeczającemu wezwaniu Haggerty'ego, które odebrano jako sygnał rosnącego kryzysu. Wzywaniu sekretarza prasowego prezydenta byłoby zbyt cenne, gdyby sprawa wyglądała tak, jak ją później przedstawiono.

Co dotyczy listu Lighta pewne jest jedynie to, iż nie miał on racji twierdząc z przekonaniem, że Eisenhower wygłosi w tej sprawie oświadczenie. Jeśli nawet Ike przygotowywał jakieś specjalne oświadczenie, to z pewnością wyperswadowaliby mu wygłoszenie go ci sami ludzie, którzy od samego początku byli zwolennikami utrzymania sprawy UFO w ścisłej tajemnicy. Najwidoczniej Ike został dopuszczony do tajemnicy jako pierwszy z małej, ale starannie wyselekcjonowanej grupy przedstawicieli różnych zawodów i dziedzin życia (Light, Allen, Nourse i McIntyre z pewnością także wchodził w skład tej grupy), którym w pewnym momencie pokazano dowód na istnienie UFO; uczyniono to prawdopodobnie także w celu oceny ich reakcji, by na ich przykładzie rozważyć sprawę skutków ewentualnego powszechnego ujawnienia tej historii. Osoby, które dopuszczono do tajemnicy zobowiązano do milczenia, a projekt poinformowania o wszystkim społeczeństwa został odrzucony. Powiedziano, że Eisenhower nakazał milczenie i kontynuowanie badań. Gerald Light złamawszy tę przysięgę nie ściągnął na siebie kłopotów jedynie dlatego, że odkryto, iż Meade Lyne, do którego napisał list, nie był postacią tak ważną, by mógł wywołać burzę opublikowaniem informacji jakie posiadał.

Inna interesująca informacja o przechowywaniu wraku rozbitego spodka w bazie Edwards pochodzi od już nieżyjącego brytyjskiego uczonego i pisarza Desmonda Leslie, który prowadził badania w sąsiedztwie Muroc podczas swego pobytu w Los Angeles latem 1954 roku. W wywiadzie udzielonym 9 października 1954 roku pisarzowi George'owi H. Williamsonowi dla magazynu *Valor* powiedział on, że „pewni anonimowi informatorzy” przekonali go, iż „spodek, o którym pogłoski mówiły, że przechowywano go w Muroc, rzeczywiście tam jest” pilnie strzeżony w „hangarze nr 27”. Zgodnie z jego informacjami „prezydent Eisenhower widział go podczas swych wakacji w Palm Springs”. O swoim informatorze gotów był powiedzieć tylko tyle, że był „człowiekiem Air Force”, naprawdę widział ten pojazd. Człowiek ten opowiedział Leslie'emu, że „pewnego dnia

mężczyźni wracający z urlopów otrzymali zakaz wejścia do bazy i rozkaz rozjechania się”. Ci, którzy mieli w bazie swoje rzeczy osobiste musieli czekać przy bramie aż zostaną im one przyniesione, a ci którzy tego dnia stacjonowali w bazie otrzymali stanowczy zakaz opuszczania jej niezależnie od okoliczności. Niestety, Leslie nie jest wiarygodny, bo skompromitował się znajomością z George'em Adamskim, twierdzącym w latach pięćdziesiątych, że kontaktuje się z latającymi spodkami (!), osobnikiem długo kojarzonym z tzw. lunatycznym marginesem ufologii. I chociaż opowieść Desmonda Leslie mogła być prawdziwa, niewielu gotowych było w nią uwierzyć.

Dwa inne fragmenty badań, jakie od tamtego czasu ujrzały światło dzienne wydają się prawdziwe. Pierwszy dotyczy dentysty, który miał podobno przyjąć Ike'a z powodu złamanego zęba. Chociaż dentysta ten już nie żyje, Moore'owi udało się w czerwcu 1979 roku skontaktować z osobą należącą do jego rodziny. Osoba ta była nader powściągliwa. Przypomniała sobie co prawda, że dentysta był proszony o zajęcie się prezydentem, ale z drugiej strony okazała się zdumiewająco niezdolna do przypomnienia sobie o jakiej porze dnia to się zdarzyło, jakie okoliczności towarzyszyły temu wydarzeniu, na czym polegała dolegliwość prezydenta, a nawet ile prezydent odbył tych wizyt („nie mogę sobie przypomnieć, ile razy prezydent był u dentysty – może dwa, a może więcej, nie pamiętam...”). Przypomniała sobie jednak, że następnego dnia podczas „prezydenckiej kolacji” dentysta był przedstawiany reporterom jako ten, który leczył Eisenhowera.

Wydawałoby się, że członek rodziny lekarza proszonego w środku nocy o pilne udzielenie pomocy prezydentowi Stanów Zjednoczonych pamiętałby szczególnie takiego wydarzenia nawet po dwudziestu pięciu latach.

Fakt, że osoba ta nie mogła sobie przypomnieć szczegółów, jakie większość ludzi w podobnych okolicznościach zapamiętałaby bez trudu, wydaje się sugerować, że „motyw dentysty” wprowadzono tylko po to, by uspokoić dziennikarzy. Jeśli rodzina dentysty widziała wtedy w całej tej sprawie spełnienie swego patriotycznego obowiązku, to teraz zupełnie naturalne jest, że jeden z członków tej rodziny nie może przypomnieć sobie szczegółów, jakie wówczas nakazano przedstawiać wścibskim dziennikarzom. Zapewne zakłopotanie jest przyczyną niechęci tej osoby do ujawnienia swojego nazwiska.

Inna istotna informacja pochodzi od pani Scully, wdowy po autorze książki *Behind the Flying Saucers*, która przypomniała sobie, że w roku 1954 ona i jej mąż kupili chatę w odludnym miejscu w górach, nad należącą do Air Force bazą Edwards. Według jej relacji jeden ze stolarzy przybyłych tam w czerwcu tego roku by dla nich pracować, uprzednio zatrudniony był w tej bazie jako pracownik cywilny. Ten właśnie człowiek, którego nazwiska pani Scully niestety nie mogła sobie przypomnieć, opowiedział im, że Eisenhower rzeczywiście był w wielkiej tajemnicy w bazie Edwards kilka miesięcy wcześniej i że prasa nigdy się o tym nie dowiedziała.

Być może niektórzy członkowie prezydenckiego korpusu prasowego jednak o tym wiedzieli, ale nie mogąc tego potwierdzić zachowali milczenie. Kapitan Edward J. Ruppelt, który właśnie w tym czasie ustąpił ze stanowiska dyrektora realizowanego przez Air Force Projektu Błękitnej Księgi UFO, także słyszał te pogłoski i jak się wydaje był nimi zainteresowany na tyle, by zadać sobie trud sporządzenia notatki w tej sprawie. Choć notatka ta (odnaleziona przez Moore'a w czasie przeglądania akt Ruppelta wiele lat po jego śmierci) niestety nie zawierała informacji o tym, czy sam Ruppelt wierzył w tę historię czy nie, jej istnienie pozwala nam wnioskować, że kierowało nim z pewnością coś więcej niż tylko przelotne zainteresowanie tą sprawą. Całkiem niedawno mieszkający obecnie w Arizonie były wysoki urzędnik jednego z ministerstw w czasie kadencji Eisenhowera opowiedział nieoficjalnie swym przyjaciołom, że Ike rzeczywiście odwiedził Muroc w 1954 roku, by obejrzeć pozostałości po rozbitym spodku i znalezione w nim ciała oraz że podróż z Palm Springs odbył helikopterem.

Co stało się z dyskiem po wizycie Eisenhowera? Niektóre pogłoski zawierają sugestię, że pod koniec roku 1954 (być może na skutek wspomnianego już wzrostu społecznego zainteresowania tą sprawą) dysk został rozłożony na części, załadowany na ciężarówkę i przewieziony do bazy Air Force – Wright-Patterson – dołączył do tych części wraku i ciał, które znalazły się tam wcześniej, to znaczy pod koniec lat czterdziestych. Zanim generał Eisenhower odbył wizytę w Muroc, nad tym właśnie terenem odnotowano wiele niezwykłych wydarzeń, jakimi były następujące pojawienia się UFO:

8 lipca 1947: Nie zidentyfikowane obiekty latające w kształcie dysku zaobserwowano cztery razy nad bazą Air Force w Muroc i nad jeziorem Rogers Dry (teren tajnych doświadczeń). Jeden obiekt przesunął się nad samolotem F-51 w czasie, kiedy inny nieznany statek powietrzny znajdował się w sąsiedztwie.

31 sierpnia 1948: Nad bazą Air Force w Muroc zaobserwowano wielki nieznany obiekt ciągnący za sobą błękitny płomień długości niemal jednej mili. Cywilny pilot Bob Hanley i jego dwaj pasażerowie zameldowali, że widzieli ten sam lub podobny obiekt nad Mint Canyon o godz. 12.15.

24 czerwca 1950: Pilot i załoga transportowca marynarki wojennej oraz kilku pilotów lotnictwa obserwowało obiekt w kształcie cygara manewrujący nad Mojave Desert blisko Daggett w Kalifornii, około dwudziestu pięciu mil na wschód od bazy Air Force w Muroc. Obiekt ten towarzyszył samolotowi pasażerskiemu United Airlines na przestrzeni około dwudziestu pięciu mil.

10 sierpnia 1950: Nawigator kapitan Robert C. Wykoff zaobserwował przez lornetkę wielki obiekt w kształcie dysku manewrujący między nim a daleko położonymi wzgórzami. Obiekt pojawił się nad autostradą 395, niedaleko Edwards, około dziesięć mil od skrzyżowania ze starą drogą nr 466.

30 września 1952: Dick Beemer, fotograf lotniczy, i dwaj inni świadkowie zaobserwowali dwa spłaszczone obiekty o kształcie sferycznym unoszące się, manewrujące i wykonujące ostre zakręty nad bazą Edwards.

W związku z tym słuszne może być odnotowanie faktu, że Nicolas von Poppen, ów fotograf, który powiedział, że robił zdjęcia rozbitego UFO (i widział kilku martwych członków jego załogi) w „Los Alamos”, zauważył, iż w czasie jego pobytu w bazie ogłoszono stan podwyższonej gotowości na wypadek czy też z obawy, że inne obiekty mogłyby pojawić się tam w celu odbicia spodka. Oprócz badacza UFO i, być może, prezydenta Eisenhowera, rejonem tym z pewnością interesował się wywiad z innej planety.

W środowisku badaczy UFO w związku z wydarzeniem w Roswell krąży też pogłoska o innej znanej postaci w rządzie amerykańskim – Barrym Goldwaterze, senatorze ze stanu Arizona. Pogłoska ta dotyczy podjętej jakoby przez senatora Goldwatera (mającego stopień generała lotnictwa w US Air Force) próbie złożenia wizyty w pilnie strzeżonej części bazy Wright-Patterson, gdzie zgodnie z wieloma informacjami przechowywane było zarówno UFO z Roswell, jak i martwe ciała załogi statku.

Zdaniem senatora Goldwatera, było to tak: W czasie podróży do Kalifornii na początku lat sześćdziesiątych zatrzymał się on w bazie Wright-Patterson, gdzie odwiedził przyjaciela, generała Curtisa LeMaya. Senator Goldwater słyszał wcześniej, że istnieje tam pomieszczenie czy oddział noszący nazwę „Niebieskiej Sali”, gdzie przechowywane są znaleziska, fotografie i inne eksponaty związane z UFO. Senator, który – jako wieloletni pilot – był szczególnie zainteresowany tą tematyką, zwrócił się do generała LeMaya z prośbą o zgodę na obejrzenie eksponatów „Niebieskiej Sali”. Odpowiedź generała LeMaya była nad wyraz krótka: „Do diabła, nie! Ani ja, ani ty nie możemy tam pójść i nigdy więcej nie prosz mnie o to!”

Choć senator Goldwater nie widział tego, co dla większości badaczy byłoby wystarczającym dowodem na istnienie pozaziemskich obiektów latających, jego refleksje na temat prawdopodobieństwa istnienia cywilizacji pozaziemskiej o wysokim poziomie rozwoju technologicznego zostały przez niego wyrażone w sposób, który mógłby posłużyć za wskazówkę dla spekulacji na temat kosmosu: „Nie mogę uwierzyć, że jesteśmy jedyną planetą, na której żyją istoty odczuwające. Mam też wszelkie powody, by wierzyć, że istoty pochodzące z innych części wszechświata są tak samo lub nawet bardziej zdolne niż my...”

Być może odpowiedź znajdowała się w „Niebieskiej Sali”. To, co w niej było, stanowiło sekret tak wielki, że nie wpuszczano do niej nawet generałów sił powietrznych.

8. „ŚCIŚLE TAJNE” NA ZAWSZE

Gdyby rządowi Stanów Zjednoczonych udało się zebrać tyle części spodka, który rozbił się w Roswell, żeby można było chociaż z grubsza określić czym ten obiekt był i jak działał, otoczenie go ścisłą tajemnicą byłoby najzupełniej zrozumiałe ze względu na bezpieczeństwo narodowe. Byłoby wręcz konieczne z powodu rosnącej liczby państw, które chciałyby wejść w posiadanie najskuteczniejszej broni. Zaś z drugiej strony, być może inne obiekty rozbiły się wcześniej w innych częściach świata i inne państwa mogą mieć także fragmenty kosmicznych puzzli, których ułożenie może przynieść rozwiązanie zagadki niewiarygodnej prędkości, z jaką UFO się poruszało bez jakichkolwiek znanych nam paliw.



Jedyny latający spodek, o którym na pewno wiadomo, że był używany przez lotnictwo Stanów Zjednoczonych. Ten doświadczalny statek latał w latach pięćdziesiątych dwudziestego wieku, ale próby nie zakończyły się sukcesem. W latach dziewięćdziesiątych opowiadano historie, że lotnictwo amerykańskie korzysta z supertajnego statku istot pozaziemskich, pochodzącego z „Krainy Baśni”, na pustyni Nevada.

W całkowitej tajemnicy musiały być przeprowadzane analizy metod pozyskiwania takich paliw oraz próby rekonstrukcji i uruchamiania takich urządzeń. Te próby zrodziły kolejne pogłoski. Pewna informacja o eksperymencie pochodzi od Reilly'ego Crabba, przewodniczącego Borderland Science Research Foundation of Vista w Kalifornii.

W roku 1971 Crabb dowiedział się o takim rzekomym wydarzeniu od pewnego sierżanta wojsk lotniczych. Miało ono miejsce cztery lata wcześniej, gdy sierżant ten był czasowo odkomenderowany do bazy Edwards. Gdy tam przebywał zaprzyjaźnił się z pewnym pilotem. Odmówił podania jego nazwiska, ale opisał go jako człowieka „w typie Steve'a Canyona”. Pewnego dnia w jednym z hangarów rozmawiali o nie zidentyfikowanych obiektach latających.

Sierżant wyraził swoje zainteresowanie i wiarę w istnienie tego zjawiska. Oficer przez pewien czas słuchał go z wahaniem, a potem powiedział: „Chcę ci coś pokazać. Choć ze mną i nie zadawaj żadnych pytań, bo i tak nie odpowiem”.

Sierżant zaprowadzony został do innego hangaru, „gdzie nie obowiązywały takie surowe zasady bezpieczeństwa, a jego mundur i karta ID umożliwiały mu wchodzenie zarówno na teren biur, jak i kantyny”. Obydwaj udali się na wyższą kondygnację, gdzie znajdowały się biura, których okna wychodziły na leżącą niżej podłogę hangaru, ale wszystkie były dokładnie zasłonięte. Na podłodze była namalowana czerwona linia. Nikomu nie było wolno jej przekroczyć bez specjalnego zezwolenia. Pilot szepnął sierżantowi, by poczekał tu na niego, a w tym czasie rzucił okiem przez lekko uchyloną zasłonę na to, co znajdowało się niżej, na podłodze hangaru. Pilot przeszedł przez punkt kontrolny, a ponieważ strażnik okazał się niezbyt skrupulatny, sierżant zobaczył to, co potem opisał Crabbowi jako „niezły widok”. To, co ujrzał było „pojazdem w kształcie spodka, umieszczonym na wysokim mechanizmie. Pojazd miał kształt kulisty. Wyglądał tak, jakby mogły się w nim zmieścić przynajmniej dwie-trzy osoby i miał prawdopodobnie od dwudziestu do trzydziestu stóp średnicy”. Wokół statku stało kilka osób personelu. Wszyscy ubrani byli w niebieskie jednoczęściowe kombinezony Air Force.

Po chwili pilot wrócił i opuścili teren. Nim się rozstali, pilot przypomniał mu, by nikomu nie opowiadał, gdzie był i co widział, a gdyby to uczynił, on (pilot) zaprzeczyłby wszystkim.

„Czy sądzi pan, że był to latający spodek zbudowany i uruchamiany przez ekipę US Air Force?” – zapytał Crabb. „Tak – odpowiedział sierżant, dodając – tam, w Edwards, zawarłem też znajomość z kilkoma strażnikami cywilnymi, którzy utrzymywali, że widzieli pojazd w kształcie dysku uruchamiany nocą w specjalnie kamuflowanym hangarze”.

Krótko po tej rozmowie informatora Crabba przeniesiono do Wietnamu. Crabb przypuszcza, że tam zginął.

Stopień prawdopodobieństwa przypuszczeń, że przynajmniej kilka zleconych przez rząd badań wykonano na jakimś, przypominającym spodek pojeździe, podwyższa uporczywie powtarzająca się pogłoska, że taki obiekt był w roku 1965 oblatywany nad bazą Nellis (stan Nevada), potem przez jakiś czas przechowywany, a następnie – zapewne po jakichś modyfikacjach – ponownie oblatywany w roku 1974. Kilku informatorów utrzymuje, że widzieli samolot podobny do *Flying Flapjack* (latającego naleśnika) w telewizyjnym komercyjnym programie informacyjnym. Kiedy jeden z tych informatorów napisał do programu z prośbą o ponowną emisję, odpowiedziano mu, że rolka z filmem została zarekwirowana przez władze i opatrzona klauzulą „ściśle tajne”. *Flying Flapjack* był projektem, którego realizacji zaniechano (oficjalnie) w latach czterdziestych, a jedyny pojazd powietrzny tego typu, jaki kiedykolwiek zbudowano, przypuszczalnie nigdy nie opuścił Connecticut.

Pytane o tę sprawę Air Force niezmiennie odsyłają każdego pytającego do przedsięwzięć podejmowanych w latach 1954-59 wspólnie z A.V, Roe Ltd, aeronautyczną firmą z Toronto. Około dziewięciu milionów dolarów wydano wówczas na skonstruowanie tzw. VZ-9 AVRO, statku powietrznego w kształcie dysku. Przedsięwzięcie to zakończyło się całkowitym fiaskiem, bowiem kiedy w roku 1959 przystąpiono do oblatywania pojazdu, okazało się, że nie może on unieść się nad ziemię wyżej niż na wysokość kilku stóp i że zamiast latać podskakuje jak jo-jo. Rzecz okazała się technologicznym niewypałem, więc cała sprawa wydawała się zamknięta.

Czy rzeczywiście? Niektórzy ludzie związani z realizacją tego projektu sugerują, że ten pojazd był jedynie zasłoną dymną, mającą odwrócić uwagę opinii publicznej od właściwych badań prowadzonych nad „pozyskaną” konstrukcją metalową i prób jej zrekonstruowania. Podpułkownik George Edwards (US Air Force) z Nowego Jorku, naukowiec, który twierdził, że naprawdę uczestniczył w realizacji projektu AVRO VZ, powiedział, że zarówno on, jaki i inni, którzy nad tym projektem praco wali, od samego początku wiedzieli, że VZ-9 nigdy nie poleci. „Choć my nie byliśmy angażowani do prób, wiedzieliśmy, że Air Force dokonuje prób z prawdziwym obcym

statkiem powietrznym. Ten VZ-9 był tylko «przykrywką», aby Pentagon miał jakieś wyjaśnienie, które mogłoby służyć za odpowiedź na rozmaite meldunki o obserwacjach UFO.” Jeśli to prawda (i jeśli VZ-9 istniał) można by to uznać za kolejny przykład „szarej” propagandy.

Tajemnica rozbitego w Roswell dysku, która pochodzi z samego początku naszej „ery ufologicznej” wyjaśni się zapewne dopiero wtedy gdy rząd zezwoli na ujawnienie zbieranych przez całe lata informacji o nie zidentyfikowanych obiektach latających. Próby dotarcia do tych informacji przez zainteresowanych nimi cywilów są trudne nie tylko dlatego, że właściwe agencje nie chcą ich udzielać, lecz również i z tego powodu, że meldunki o UFO nie są zgromadzone w jakiejś jednej instytucji. Są one w posiadaniu między innymi: CIA, FBI, NASA, Air Force, Navy (marynarka wojenna), NSA The National Security Agency – Narodowa Agencja Bezpieczeństwa i The National Archives (Archiwum Narodowe). Można też domniemywać, że niektóre z tych doniesień zagubiono bądź błędnie katalogowano podczas wymiany ich przez różne agencje.

Entuzjaści UFO zabiegali o dostęp do materiałów na temat tych zjawisk już w latach sześćdziesiątych, ale dopiero teraz, za sprawą poprawionej Karty Wolności Informacji (która weszła w życie 4 lipca 1974) widać pierwsze pęknięcia na tamie informacyjnej.

Karcie Wolności Informacji towarzyszyły optymistyczne zapowiedzi. W swojej kampanii prezydenckiej Carter oświadczył, że gdy był gubernatorem, na własne oczy widział UFO w Georgii, i że kiedy zostanie wybrany na prezydenta, pozwoli na ujawnienie wszystkich posiadanych przez rząd informacji na temat UFO; jest bowiem przekonany, że nie zaszkodzi to interesom bezpieczeństwa narodowego. W kwietniu 1977 roku magazyn *US News and World Report* przepowiadał, że należy się spodziewać, iż przed upływem roku rząd, a być może sam prezydent, odsłoni to, co w sprawie nie zidentyfikowanych obiektów latających nosi miano „skrywanych tajemnic”. Takie rewelacje, oparte na informacjach pochodzących z CIA, były zwrotem w oficjalnej polityce, która w przeszłości umniejszała znaczenie poszczególnych pojawień się UFO.

W roku 1979, w związku z informacjami i zapytaniami otrzymywanymi z całego świata, autorzy skierowali do prezydenta Cartera prośbę o odtajnienie informacji na temat UFO. W odpowiedzi, jaka nadeszła z Białego Domu, stwierdzono, że prezydent zwrócił się do NASA z pytaniem o zasadność ponownego wszczęcia badań nad UFO, ale odpowiedziano mu, że „wobec faktu, iż nie pojawiły się ani konkretne, ani nowe informacje na temat nie zidentyfikowanych obiektów latających” podjęcie takich badań nie wydaje się uzasadnione. Rzeczywiście, ponieważ stało się jasne, że rządowe agencje nie przeکاżą żadnych rewelacji, niektóre grupy badaczy UFO zdecydowały się działać w oparciu o postanowienia Karty Wolności Informacji.

We wrześniu 1977 roku William Spaulding, dyrektor Ground Saucer Watch, Inc. (GSW) w Phoenix (stan Arizona) powołując się na Kartę Wolności Informacji, rozpoczął batalię przeciwko CIA, głosząc, że agencja ta zgromadziła tysiące dokumentów na temat jej własnych przedsięwzięć związanych z UFO i że utrzymywała, i nadal utrzymuje je w tajemnicy zaprzeczając ich istnieniu. W rezultacie odmowy (uzasadnionej względami bezpieczeństwa narodowego) dostępu do akt dotyczących UFO, GSW wycofało pozew. GSW żądało przeprowadzenia „przy drzwiach zamkniętych” przez sędziego federalnego kontroli dokumentów w celu określenia, do jakiego stopnia (jeśli w ogóle) wiązały się one ze sprawą bezpieczeństwa narodowego.

Po tej odmowie, na początku roku 1978, pod kierownictwem W. T. Zechela (byłego dyrektora naukowego GSW i byłego radiotelegrafista w Army Security Agency – Wojskowej Agencji Bezpieczeństwa) powstałe drugie stowarzyszenie – Citizens Against UFO Secrecy (Obywatele Przeciwko Tajności UFO). Deklarowanym przez CAUS celem działalności była ni mniej, ni więcej tylko próba udowodnienia, że w późnych latach czterdziestych US Air Force przejęły rozbity pozaziemski statek kosmiczny na terenach, gdzie stany Teksas i Nowy Meksyk graniczą z Meksykiem.

W grudniu 1977 roku, działając pod przewodnictwem Brada Spraksa, konsultanta technicznego tej organizacji i jej dyrektora naukowego CAUS przejęło zawieszony proces wytoczony kilka miesięcy wcześniej przez GSW i odniosło sukces uzyskując sądowy nakaz z US Distric Court w Waszyngtonie, zmuszający CIA do sporządzenia wykazu dokumentów odnoszących się do UFO. Interesujące jest to, że z około dziesięciu tysięcy stron dokumentów, jakie umieszczono w tym wykazie w roku 1978, zaledwie niecałych dziewięćset stron udostępniono GSW/CAUS w grudniu tego roku. W tym samym czasie CIA odmówiła udostępnienia około pięćdziesięciu siedmiu

dokumentów (dokładna liczba nie jest znana) związanych z UFO uzasadniając swą odmowę wymogami bezpieczeństwa narodowego.

Podobne żądanie skierowane do FBI przez zajmującego się optyką fizyka Bruce'a Maccabee z Silver Spring (stan Maryland) ostatecznie zmusiło FBI do przedstawienia blisko tysiącstronicowej dokumentacji związanej z UFO, mimo początkowego sprzeciwu i twierdzeniom, że takie dokumenty w ogóle nie istnieją.

Choć większość tych dokumentów stanowią kopie rutynowych meldunków i doniesień, które wnoszą niewiele nowych lub nieoczekiwanych informacji, jest wśród nich kilka mających – jak się zdaje – bliski związek z wydarzeniem w Roswell. Jednym z najbardziej wstrząsających dokumentów jest notatka sporządzona przez samego J. Edgana Hoovera, nieżyjącego już szefa FBI, który był przez wiele lat ważną figurą w rządzie, był zazdrosny o swoje prerogatywy i nieustannie podejrzewał, iż ktoś narusza jego uprawnienia. Tym dokumentem jest następujący list:

Notatka do pana Ladda

Pan X (nazwisko ocenzone) także dyskutował na ten temat z pułkownikiem L. R. Forneyem z MID (Military Intelligence Division – Wydział Wywiadu Wojskowego). Pułkownik Forney stwierdził, że jest przekonany, iż wobec ustaleń, iż latające spodki nie są wynikiem żadnego eksperymentu armii ani marynarki, powinno się nimi zainteresować FBI. Oświadczył też, że jego zdaniem FBI (o ile jest to możliwe) powinno przychylić się do prośby generała Schulgena (tzn. pomóc Air Force w ich badaniach).

SWR:AJB (inicjały)

Zrobiłbym to, ale przed wyrażeniem zgody musimy nalegać na swobodny dostęp do dysków. Na wypadek (tu nieczytelne: SW lub LA), gdyby armia to ukryła i nie pozwoliłaby nam dokonać pobieżnych badań.

H.

Fakt, że notatka ta nosi datę 15 lipca 1947 roku jest bardzo ważny, bo niejasna jest wzmianka dotycząca miejsca lub położenia, którym mogło być zarówno „SW” (kierunek South-West, tj. południowy-zachód), jak i „LA” (Luizjana lub może nawet Los Angeles położone na tym samym terenie, na którym znajduje się należąca do Air Force baza Edwards).

Dwie notatki FBI dotyczące tego przypadku wskazują, że nie chodzi tu o Luizjanę. Jedna z notatek pochodzi z biura FBI w Nowym Orleanie, druga zaś od samego Hoovera (obie noszą datę 7 lipca). Podczas gdy notatka Hoovera jasno wskazuje, że miał on na myśli rozbity dysk, który „armia ukryła i nie pozwoliłaby nam dokonać badań”, dwie notatki z Luizjany, które odnoszą się do przypadku Shreveport otwarcie pokazują, że prawda wyglądała inaczej i że Army Air Force (Wojskowe Siły Lotnicze) w rzeczywistości współpracowały z FBI.

To, że Hoover miał na myśli wydarzenie z Nowego Meksyku staje się jeszcze bardziej oczywiste w świetle innej notatki FBI, na którą uwagę autorów zwrócił Brad Sparks. Notatka ta będąca odpisem pilnej korespondencji teleksowej między biurem FBI w Dallas a biurem w Cincinnati (z kopią dla Hoovera i Dowództwa Strategicznych Sił Powietrznych) odnosi się bezpośrednio do wydarzenia w Roswell. Oto stosowny fragment tej korespondencji:

TELEKS

FBI DALLAS 8-7-47 GODZ. 16.17

DYREKTOR I DOWÓDZTWO STRATEGICZNYCH SIŁ POWIETRZNYCH CINCINNATI, PILNE LATAJĄCE DYSKI, INFORMACJA (ocenzurowane) DOWÓDZTWA. 8 AIR FORCE TELEFONICZNIE POWIADOMIŁO, ŻE JAKIŚ OBIEKT MOGĄCY BYĆ LATAJĄCYM DYSKIEM ZOSTAŁ ZDOBYTY (sic!) NIE OPODAL ROSWELL (STAN NOWY MEKSYK), TO SPOTKANIE... (tekst ocenzone)

NASTĘPNIE POWIADOMIONO, ŻE OBIEKT PRZYPOMINA WYSOKO LATAJĄCE BALONY METEOROLOGICZNE Z RADAROWYM REFLEKTOREM, ALE TELEFONICZNA ROZMOWA MIĘDZY ICH BIUREM I BAZĄ WRIGHT FIELD NIE POTWIERDZIŁA TEGO POGLĄDU. DYSK I BALON SĄ TRANSPORTOWANE SPECJALNYM SAMOŁOTEM DO WRIGHT FIELD W CELU ZBADANIA. INFORMACJA DOSTARCZONA JEST DO TEGO BIURA Z POWODU POWSZECHNEGO ZAINTERESOWANIA I FAKTU, ŻE NBC, ASSOCIATED PRESS I INNI PODEJMUJĄ PRÓBY ZŁAMANIA TAJEMNICY MIEJSCA, W KTÓRYM OBECNIE ULOKOWANY

Analiza tej nader ważnej korespondencji zwraca uwagę na następujące problemy:

1. Na żadnym z etapów FBI nie otrzymało dostępu ani do dysku, ani do rozbitych szczątków, dokładnie tak jak wskazywała na to notatka Hoovera z 15 lipca.

2. Ktoś w biurze Rameya w Fort Worth, prawdopodobnie sam Ramey, naradzał się przez telefon bezpośrednio z Wright Field na temat prawdziwej natury i opisu obcego obiektu, który wpadł w ich ręce. Rezultatem tej dyskusji była jasna konkluzja, że czymkolwiek był obiekt, który eksplodował nad farmą Brazela, nie był w żadnym razie „wysoko latającym balonem atmosferycznym z radarowym reflektorem”, niezależnie od tego, że pewne jego elementy mogły w jakiś sposób przypominać takie urządzenie.

3. Oświadczenie generała Rameya, że specjalny lot do Wright Field został odwołany i że szczątki rozbitego obiektu były na podłodze w jego biurze i prawdopodobnie rzeczywiście tam były, co potwierdził zarówno major Marcel, jak i pułkownik DuBose, było świadomym i oczywistym zagmatwaniem wydarzeń spowodowanym przez Rameya po to, by „mieć z głowy dziennikarzy”.

3. Oczywistym motywem decyzji Air Force o przekazaniu FBI informacji o tym wydarzeniu była chęć zapewnienia sobie pomocy Federalnego Biura Śledczego w uspokojeniu społeczeństwa, podekscytowanego informacjami podawanymi przez NBC i Associated Press.

Gdyby Air Force w Wright Field kiedykolwiek powiadomiły FBI o wynikach badań związanych z dyskiem, to z pewnością nigdy nie podano by rezultatów tych badań do publicznej wiadomości. Fiasko FBI w uzyskaniu niezbędnych szczegółów na temat wydarzenia w Roswell zniechęciło Hoovera do tezy, że najlepszym sposobem zdobycia tylu informacji o tajemniczych dyskach jak tylko jest to możliwe, jest współpraca z Air Force, a nie próba podjęcia niezależnych badań. Stosownie do tego 30 lipca 1947 roku skierowano do wszystkich agentów następującą dyrektywę:

30-07-1947

BIULETYN BIURA, NR 42

Serie 1947

Należy badać każdą informację, która mówi o zaobserwowaniu latającego dysku, aby upewnić się, czyjego pojawienie rzeczywiście miało miejsce, czy informacja podana jest w dobrej wierze lub też czy jest dziełem imaginacji albo żartu. Należy pamiętać, że podobne meldunki mogą być składane z różnych powodów. Nie można wykluczyć, że ktoś może być spragniony rozgłosu wokół własnej osoby, chce wywołać histerię lub płatać figle. O wszystkich zgłoszonych obserwacjach i rezultatach poszukiwań oraz badań należy natychmiast, za pośrednictwem teleksu, zawiadamiać biuro. W wypadku doniesień godnych szczególnej uwagi, po przekazaniu informacji teleksowej należy przesłać do biura list zawierający szczegółowy opis rezultatów prowadzonego dochodzenia.

Armia Air Force zapewniły biuro o współpracy w tych sprawach, więc o każdym wypadku niedotrzymania tego zobowiązania lub odmowy dostępu do posiadanych dysków w celu przeprowadzenia badań należy natychmiast informować biuro.

Każda informacja dotycząca latających dysków powinna być natychmiast przekazana armii właściwymi, indywidualnymi kanałami łączności.

62-83894

kopia archiwizowana 25270

58 18 sierp. 1947 4 sierp. 1947

Choć przytoczone dokumenty jasno dowodzą udziału FBI w badaniach nad latającymi dyskami, biuro ukrywało później ten fakt i wypierało się swojego w nich uczestnictwa. Autorzy posiadają kilka listów z FBI datowanych między rokiem 1966 a 1972, które zostały napisane jako odpowiedź na zadawane publicznie pytania o charakter i zakres zaangażowania FBI w sprawę latających dysków. Sens każdego z tych listów (a wszystkie podpisane są przez J. Edgara Hoovera) sprowadza się do następującego stwierdzenia:

„Informujemy, że dochodzenia w sprawie nie zidentyfikowanych obiektów latających nie są i nigdy nie były kwestią, którą interesowałaby się wewnętrzna jurysdykcja FBI”.

Jeszcze inną nieoczekiwaną informację znaleziono między odtajnionymi doniesieniami. Była to opatrzona datą 23 września 1947 roku notatka sporządzona przez generała Nathana Twininga z Air Force, którą – jako dowódca Air Force Materiel Command – wysłał on do Dayton (stan Ohio). Notatka ta była odpowiedzią na pytania Dowództwa Wydziału Technicznego o latające dyski. Oto skrót tej notatki:

23 września 1947

Treść: opinia dotycząca latających dysków

Do: Dowództwo Wojsk Lotniczych Waszyngton 25, DC

Dla generała brygady George'a Schulgena

AC/AS-2

1. Oto opinia na temat tzw. latających dysków, będąca odpowiedzią na prośbę AC/AS-2. Opinia ta oparta jest na danych dostarczonych przez AC/AS-2 i wstępnych badaniach prowadzonych przez personel T-2 i Laboratorium Statków Powietrznych Dywizji Inżynieryjnej T-3. Opinia ta została sformułowana w porozumieniu z personelem Lotniczego Instytutu Technologicznego, Wywiadu T-2, Biura Dowódcy Dywizji Inżynieryjnej oraz Laboratoriów Statków Powietrznych (Odrzutowych i Śmigłowych) Dywizji Inżynieryjnej T-3.

2. Zgodnie z tą opinią:

- a. Zgłoszone zjawisko jest czymś realnym, a nie fikcyjnym czy fantastycznym.
- b. Istnieją obiekty, prawdopodobnie zbliżone swym kształtem do dysku o tak znacznych wymiarach, że wydają się być tak wielkie jak zbudowany przez człowieka pojazd powietrzny.
- c. Możliwe, że niektóre z tych wydarzeń zostały spowodowane przez zjawiska naturalne, takie jak meteory.
- d. Zgłoszona charakterystyka działania, a mianowicie: krańcowe wskaźniki wysokości, szczególnie rodzaj manewrowania (wirowanie) i zdolność znikania po zauważeniu ich przez radar lub samolot, skłaniają do przekonania, że niektóre z tych obiektów są kontrolowane manualnie, automatycznie bądź zdalnie.
- e. Ogólny opis wyglądu zewnętrznego tych obiektów jest następujący: metaliczna lub odbijająca światło powierzchnia, brak śladów smug, z wyjątkiem kilku przykładów, kiedy obiekt najwyraźniej operował w bardzo trudnych warunkach, okrągły lub eliptyczny kształt, na dole spłaszczony, a ku górze wysklepiony,
 - kilka doniesień informuje o dobrze uformowanych eskadrach złożonych z trzech do dziesięciu obiektów,
 - zazwyczaj nie towarzyszy im dźwięk z wyjątkiem trzech przykładów, kiedy odnotowano huk...

Naturalnie, notatka Twininga nie odnosi się do dysku z Roswell, ale zarówno data tego dokumentu (sporządzonego zaledwie dwa i pół miesiąca po tamtym wydarzeniu), jak i fakt, że potwierdza on istnienie latających dysków dowodzą, że wydarzenie w Roswell zrodziło świadomość znaczenia wizyt istot z kosmosu oraz pragnienie wyjaśnienia tego zjawiska.

Na prośbę CAUS o szczegółowe dane dotyczące katastrofy UFO i prób zdobycia jego szczątków, CIA odpowiedziała, że „takie dane należałyby do kompetencji Air Force i musiałyby być uzyskane stamtąd”.

Przewidując taką odpowiedź stowarzyszenie CAUS już miesiąc wcześniej złożyło do biura FOLA (The Freedom of Information Act – Karta Wolności Informacji) prośbę o udostępnienie dokumentów związanych z rozbitym statkiem, a pochodzących z lat 1947-48 i wpisanie na listę świadków tego wydarzenia pewnego emerytowanego pułkownika US Air Force, który „był odpowiedzialny za bezpieczeństwo terenu w czasie operacji podnoszenia wraku” oraz pewnego emerytowanego podpułkownika, który podczas domniemanego wypadku odbywał właśnie swój lot i został zaalarmowany o wtargnięciu nie zidentyfikowanego obiektu w amerykańską przestrzeń powietrzną.

Air Force przyznały, że pierwszy osobnik zidentyfikowany jedynie jako „pułkownik John Bowen” rzeczywiście był dowódcą Żandarmerii Wojskowej w należącej do Air Force bazie Carswell w Fort Worth w czasie domniemanego zdarzenia, ale nie dostarczyły żadnych dodatkowych informacji. W sierpniu ukazało się formalne zaprzeczenie, w którym Air Force w charakterystyczny dla siebie sposób kwestionowały istnienie dokumentów dotyczących katastrofy i zaprzeczały posiadaniu jakichkolwiek urządzeń pozaziemskich. Air Force twierdziły, że nie można

im stawiać zarzutu niedostępności dokumentów, ponieważ dokumenty takie nie istnieją.

W tym punkcie sprawa chwilowo utknęła. W czasie gdy powstawała ta książka, pewne prestiżowe waszyngtońskie biuro prawne, przewidując długotrwały proces, zgodziło się pokierować protestem CAUS. Proces przeciwko Air Force w sprawie rozbitego UFO jest „akcją prowadzoną w interesie społecznym”. Linię postępowania w sprawie GSW przeciwko CIA ustala pewna firma prawnicza z Nowego Jorku. Peter Gersten, adwokat prowadzący tę sprawę, nie jest optymistą: „Przypuszczamy, że agencja posiada jeszcze co najmniej dwieście dokumentów oprócz tych pięćdziesięciu siedmiu, do których się przyznała, i że te pozostałe dokumenty ukrywa przed nami, by chronić swoje źródła wywiadowcze”. Planuje on mimo to kontynuować proces i nękać agencję petycjami tak długo, aż uzyska brakujące doniesienia.

Zmienił się nieco, przynajmniej pozornie, klimat oficjalnej współpracy. Prośby o informacje na temat nie zidentyfikowanych obiektów latających są teraz rozpatrywane z większą życzliwością.

Rozważając implikacje wydarzenia w Roswell: jeśli choćby jeden człowiek z wielu wymienionych w tej książce, którzy twierdzą, że byli świadkami tego wypadku i przejęcia pozaziemskiego pojazdu – mówi prawdę, to mielibyśmy do czynienia z najwspanialszym rozdziałem w historii dwudziestego wieku – pierwszym kontaktem z żywymi (bądź martwymi) istotami pozaziemskimi. Gdyby to wydarzenie okazało się prawdziwe, można by je porównać do spotkania Kolumba z przerażonymi tubylcami w czasie jego pierwszej wizyty w Nowym Świecie. Z jedną tylko różnicą: w tym wypadku przerażonymi tubylcami bylibyśmy my!

9. ROSYJSKIE ZWIĄZKI

Z zakurzonych roczników gazet z poprzednich dziesięcioleci dowiadujemy się o potężnej i nie wyjaśnionej eksplozji meteoru lub komety, która rozbiła się spadając na Syberię w roku 1908. Z wysokiego płaskowyżu andyjskiego dochodzą informacje o niezwyklej kuli ognistej, która w roku 1979 ścięła jeden ze szczytów. Rok wcześniej, w 1978, potężne nie zidentyfikowane odgłosy słyhać było nad brzegiem Oceanu Atlantyckiego w stanach New Jersey i Wirginia. Informacje o podobnych odgłosach i eksplozjach znajdujemy także w doniesieniach prasowych na łamach gazet z XIX wieku.

NASA, AEC, FAC, NOAA, Air Force, Coast Guard (Straż Przybrzeżna), Navy (marynarka) i inne instytucje wydają oświadczenia czym te zjawiska nie były, ale zawsze zawodzą jeśli chodzi o ustalenie, czym te zjawiska były.

Nie istnieje satysfakcjonujące wyjaśnienie braku śladu po kuli ognia czy eksplozji pozaziemskiego pojazdu, lub tego, cokolwiek to było. Nie ma na Syberii żadnego krateru. Pozostały jedynie wyrwane z korzeniami lub spalone drzewa, martwe renifery, legendy o wielkim wybuchu i osad promieniotwórczy, który utrzymywał się przez lata oraz rzecz jasna tektyty.

W minionych latach kolejne pogłoski i półoficjalne oświadczenia pojawiły się w związku z innym „gościem z kosmosu”. Gość ten zostawił dowód swojego spotkania z Ziemią, podczas którego dysk eksplodował i uderzył o powierzchnię naszej planety, by następnie znowu wznieść się w przestrzeń kosmiczną. Istnieją pewne podobieństwa między tym wydarzeniem, które podobno miało miejsce w Związku Radzieckim nieopodal jeziora Onega a wydarzeniem w Roswell.

Wzmianki o wydarzeniu nad jeziorem Onega z 1961 roku pojawiły się na Zachodzie ze znacznym opóźnieniem. Incydent rosyjski opisany został na łamach „Nie Zidentyfikowane Obiekty Latające w ZSRR”, vol. II z roku 1975, przez profesora Felixa Ziegela i w *The New Soviet Psychic Discoveries* przez Grisa i Dicka (Prentice Hall, 1978). Pierwsze meldunki były sporządzone przez profesora Ziegela z Radzieckiego Instytutu Lotnictwa i przez radzieckiego inżyniera Jurija Fomina. Część tego materiału, bezpośrednio z notatek profesora Ziegela, przetłumaczył William Moore. Warto zauważyć, że zanim doniesienia o UFO pojawiły się w Związku Radzieckim w oficjalnym obiegu, opublikowano je w nielegalnym „samizdacie”.

Wydarzenie rosyjskie miało miejsce nieopodal obecnie opuszczonej wioski Jentino na dalekich północnych wybrzeżach jeziora Onega. Wczesnym rankiem 27 kwietnia 1961 roku grupa dwudziestu pięciu myśliwych i leśników zobaczyła „obiekt powietrzny nieznanego pochodzenia”. Obiekt ten zbliżał się do ziemi, a następnie uderzył w małą zatokę. Świadkowie twierdzą, że wydarzyło się to rano, o godzinie ósmej bądź o dziesiątej. Trzeba tu zauważyć, że różnica w podawanym czasie powstała z kilku powodów: bądź to z różnicy między czasem moskiewskim a czasem lokalnym, co jest często spotykanym problemem w określaniu czasu wydarzeń w Związku Radzieckim. Ważne jest przede wszystkim to, że opis obiektu jest identyczny we wszystkich relacjach.

Obiekt miał kształt owalny, był wielkości samolotu pasażerskiego i połyskiwał niebiesko-zielonym światłem. Poruszał się na niewielkiej wysokości z bardzo dużą prędkością. Kiedy lecąc ze wschodu na zachód uderzył o ziemię blisko północnej linii brzegowej jeziora, rozległ się dźwięk przypominający silną eksplozję, zaś uderzenie spowodowało znaczne zniszczenie podłoża i pokrywającej je roślinności.

Zatrwożeni myśliwi skontaktowali się z nadleśniczym tego okręgu, Walentinem Borskim, prosząc go o pilne przybycie. Borski pojawił się na miejscu zdarzenia około godziny ósmej następnego dnia.

Późniejsze wyjaśnienia Borskiego zawierały informację, że także inni mieszkańcy tej okolicy zaobserwowali to samo co myśliwi. Zgodnie z ich informacjami obiekt przetrzymał kontakt z

ziemią i kontynuował lot na zachód lekko wahającym się ruchem na trajektorii ciągle bardzo bliskiej ziemi. Następnie zniknął. Jak twierdzą świadkowie, obiekt ten nie wydawał żadnego dźwięku z wyjątkiem odgłosu samego uderzenia.

Dalsze badania miejsca zderzenia obiektu z ziemią prowadzone najpierw przez Borskiego, a potem przez grupę cywilno-wojskową z miasta Powienec (w grupie tej zespołem cywilnym kierował Fiodor Denisow, naukowiec zajmujący się problemami środowiska, a zespołem wojskowym – oficer Armii Radzieckiej inżynier major Antoni Kopiejkin oraz starszy technik kapitan Borys Łapunow) ujawniły, że uderzając o ziemię obiekt wyrył trzy rowy – jeden duży i dwa mniejsze – wyrwijając roślinność z korzeniami. Zetknięcie z lodem jeziora sprawiło, że pokrywa lodowa roztrzaskała się na kilka wielkich kawałków. Niektóre mniejsze odłamki lodu wbiły się w ziemię. Lód zabarwił się na intensywnie zielony kolor. Rowy wyłobione na skarpie wzdłuż brzegu składały się z dużego kanału mającego około 27 metrów długości, 15 metrów szerokości i 3 metry głębokości, drugiego kanału położonego niedaleko zachodniego krańca tego pierwszego i oddzielonego od niego ok. 5,5 metra i trzeciego, słabiej zarysowanego, o szerokości ok. 40 centymetrów, wiodącego do samego jeziora. Skarpa w tym miejscu jest nachylona pod kątem ok. 60 stopni do powierzchni jeziora. Oprócz owych trzech rowów i roztrzaskanej pokrywy lodowej nie było w okolicy żadnych innych śladów opisywanej tu kolizji.

Major Kopiejkin przeprowadził dokładne badanie tych trzech rowów i przeoranej ziemi na brzegu. Znalazł kilka drobnych, czarnych, przypominających metal kawałków jakiegoś materiału. Miały one kształt geometryczny. Odkrył też jeden kawałek czegoś, co wyglądało jak folia. Ten fragment miał około 1 milimetra grubości, 2 centymetry długości i ok. 5 milimetrów szerokości. Wydawało się, że zrobiony był z tego samego tworzywa co fragmenty czarne. Wszystko co znalazł major Kopiejkin przekazano do analizy Leningradzkiemu Instytutowi Technologicznemu. W wyniku tej analizy ustalono, że:

A. Zielony lód po rozpuszczeniu zostawił osad włóknisty. W czasie analizy tego włókna wydzielił się nieznany związek organiczny, oprócz którego znaleziono niewielkie ilości aluminium, wapnia, baru, silikonu, sodu i tytanu.

B. Kawałki tworzywa w kształcie geometrycznym okazały się odporne na wysoką temperaturę i kwas, nie były radioaktywne i zawierały metalowo-silikonowy stop, połączony z niewielką ilością aluminium, litu, tytanu i sodu.

C. Niewielki kawałek substancji przypominającej folię ma ten sam skład chemiczny co części większe.

Znakomity radziecki geofizyk profesor Włodzimierz Szaranow z Leningradzkiego Instytutu Technologicznego tak zainteresował się tym wydarzeniem, że postanowił sam zobaczyć jego miejsce. Zbadał je dokładnie i opierając się również na cytowanej analizie sformułował następującą opinię:

Jestem całkowicie przekonany, że obiekt ten nie był meteorytem. Nie spowodował bowiem takiego zniszczenia i takich zmian na powierzchni ziemi, jakie zawsze są skutkiem upadku meteorytów. Upadający meteoryt zostawia dwa lub nawet pięć razy większy krater. W tym wypadku nie znaleziono żadnych kraterów. Spadaniu meteorytów towarzyszą zawsze wyraźne efekty dźwiękowe i wizualne. W tym wypadku żadnych takich efektów nie było. Nie znaleziono też takich substancji chemicznych, które zawsze zostawiają upadające meteoryty. Znalezione włókna są tworzywem sztucznym (mają pochodzenie nieorganiczne).

Możliwość, by obiekt ten był typowym statkiem powietrznym lub jakimś amerykańskim samolotem szpiegowskim poruszającym się na tak niskim pułapie w celu uniknięcia przechwycenia przez kontrolę radarową, została całkowicie wykluczona zarówno przez Szaranowa, jak i przez naukowców z Leningradzkiego Instytutu Technologicznego. Wykluczyli oni także i tę możliwość, by jakikolwiek samolot mógł zderzyć się z zamrożonym podłożem nie niszcząc własnej konstrukcji i nie pozostawiając rozrzuconych w okolicy swych części.

Profesor Felix Ziegel jest szanowanym radzieckim astronomem i badaczem przestrzeni kosmicznej. Ma w swoim dorobku dwadzieścia osiem książek poświęconych astronomii i astronautyce oraz liczne artykuły naukowe na ten temat. Jego wnioski dotyczące nie zidentyfikowanego

obiekty latające, jaki pojawił się nad jeziorem Onega, które sformułował na podstawie swoich własnych badań tego przypadku są szczególnie interesujące. Profesor Ziegel uważa, że obiekt nad jeziorem Onega był „pochodzącą z innej planety sondą kosmiczną, która zawadziła o ziemię, lecz zdołała kontynuować swój lot mimo przypuszczalnego powierzchniowego uszkodzenia”. Dalej stwierdza on: „To jest jedyny taki przypadek odnotowany na terytorium ZSRR”. Ta ostatnia uwaga dotyczy tylko kontaktów zakończonych katastrofą.

Profesor Aleksander Kazancew, wybitny rosyjski badacz, pisarz i członek Akademii Nauk ZSRR sformułował swą opinię jeszcze bardziej zdecydowanie i jednoznacznie: „To jest oczywiście sonda kosmiczna!”

Wydarzenia w Roswell i nad jeziorem Onega wydają się podobne. Porównajmy je: Nieznany obiekt latający zmierza ze wschodu na zachód lecąc na bardzo niskim poziomie z bardzo dużą prędkością, następuje eksplozja powodująca uszkodzenie gruntu, wyrwanie roślin z korzeniami i – w wypadku jeziora Onega – skruszenie lodu, po okolicy rozrzucone są odłamki podobne do metalu, wydarzeniom tym nie towarzyszy żaden dźwięk z wyjątkiem tego, który powstaje w momencie zderzenia lub eksplozji po swoim bliskim spotkaniu z ziemią, obiekt pozostaje w powietrzu ciągle posuwając się w kierunku zachodnim, choć w Roswell obiekt rozbił się.

Czy pojazd znad jeziora Onega został uszkodzony w takim stopniu, by rozbić się w jakimś dalszym punkcie swej podróży? Na tak rozległym terenie o tak słabym zaludnieniu, jakim są okolice jeziora Onega, taki wypadek łatwo mógłby się zdarzyć, a rozbity wrak mógłby ciągle jeszcze tam czekać na odnalezienie. Wrak takiego statku (i być może znajdujące się w nim ciała załogi) mógłby być także odkryty i zabrany przez radziecką jednostkę wojskową bez wiedzy ludności cywilnej, co jest znacznie bardziej prawdopodobne niż w USA, gdzie informacje o wydarzeniu w Roswell zostały ogłoszone przez prasę i radio, zanim wiadomość tę zdementowały władze.

Przez całe dziesięciolecie USA i ZSRR, dwa największe mocarstwa, podejrzewały się o wysyłanie nad swoje terytoria pojazdów latających. Obecnie jednak większość społeczeństw tych krajów jest bardziej lub mniej przekonana, że tajemniczy goście rzeczywiście istnieją i że pochodzą z jakiejś innej przestrzeni kosmicznej, a być może także z jakiegoś innego czasu.

Wciąż krążą pogłoski, że amerykańscy i radzieccy kosmonauci zaobserwowali i sfotografowali jakąś konstrukcję na powierzchni Księżyca. Na ciemnej stronie Księżyca radziecka *Luna 9* dostrzegła geometryczny układ wielkich kamieni, które – jak mówi profesor Iwanow, radziecki uczony specjalizujący się w badaniach przestrzeni kosmicznej – mogły być oznaczeniami księżycowego pasa startowego. W Morzu Spokoju widać jakieś ostre cienie, które mogą być odbiciem stromo wznoszących się konstrukcji. Jeden z tych cieni określony został jako „strzelista forma wysoka jak pomnik Waszyngtona”. Jeszcze inna konstrukcja przypominająca gigantyczną antenę, a stojąca na skraju Krateru Jansena opisana została jako „nieprawdopodobnie wysoka” z sugestią, że mogła ona być gigantycznym słupem elektrycznym.

Oczywiście, zawsze konsekwentnie zaprzeczano takim pogłoskom lub doniesieniom, gdy zaś te konstrukcje sfotografowano, twierdzono, iż są to doskonale ukształtowane formy naturalne. Astronomowie oraz „interpretatorzy fotografii” troszczący się, co zrozumiałe, o swoją reputację definiowali te piramidy jako cienie, a mosty i ściany jako wygięte grzbiety górskie. Sklepienia tłumaczyli wybrzuszeniami powierzchni Księżyca spowodowanymi jego aktywnością wulkaniczną. (Gdyby to była prawda, powierzchnia tych wypukłości miałaby ten sam kolor co ich otoczenie, nie zaś jak to jest w istocie – barwę przeświecająco białą.)

Następne nie wyjaśnione zjawisko na Księżycu to zanotowany prosty ruch. Pewna fotografia (pochodząca prawdopodobnie z misji *Apollo II*) opublikowana w Stanach Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii i kilku innych krajach pokazuje dwa błyszczące, nie zidentyfikowane dyski unoszące się z księżycowego krateru. Okresy emisji światła i miejsca świecące zmieniającymi się kolorami obserwowane były w różnych częściach Księżyca przez różnych astronomów prowadzących swe obserwacje w różnych częściach Ziemi i w różnym czasie. Odnotowano, iż pochodziły one z Cobra Head w Dolinie Schrotera i z kraterów Aristarchus oraz Maskelyne.

Jeśli zgodzimy się z sugestią, że nie jesteśmy sami w naszej galaktyce, to akceptacja przypuszczenia, że jacyś „inni” być może wykorzystują Księżyc jako bazę, z której obserwują Ziemię, nie będzie dla naszej wyobraźni zadaniem zbyt trudnym. Do takich obserwacji świetnie nadawałyby się

ciemna strona Księżyca. Jest zabezpieczona przed zakłóceniami radiowymi z Ziemi, ma dogodny klimat i nie ma problemów z korozją, a Księżyc jest prawie największą planetą Układu Słonecznego – niemal siostrzaną planetą Ziemi – znajduje się w dogodnej odległości od rozwiniętego życia istniejącego na Ziemi.

Fizyk Stanton Friedman sugeruje, że być może względnie małe, nie zidentyfikowane obiekty latające są kapsułami badawczymi wysyłanymi w kierunku Księżyca przez większy pojazd z innych punktów tej lub innej galaktyki.

Dziesiątki tysięcy nie zidentyfikowanych obiektów latających, których pojawienie się odnotowano na Ziemi od roku 1947, krótko po wybuchu bomby atomowej, zapoczątkowały erę, która mogłaby otrzymać nazwę „końca kosmicznej izolacji” lub „końca niewinności”. Pojawienie się UFO w miejscach przeprowadzanych uprzednio prób jądrowych i stale przeprowadzanych testów atomowych wskazuje, że te eksplozje mogły spowodować ożywienie zainteresowania naszych sąsiadów aktywnością na Ziemi (jeśli przyjmiemy że mamy sąsiadów w kosmosie).

Zrozumiałe jest, że spośród tak wielkiej liczby nie zidentyfikowanych pojazdów nad Ziemią niektóre ulegają awariom.

Niebezpieczeństwo utrzymywania faktu istnienia UFO w tajemnicy jest oczywiste – katastrofa UFO może być wzięta za atak obcego państwa i spowodować reakcję odwetową o nieobliczalnych skutkach.

Werner von Braun, znany twórca rakiet, który pomagał przy konstruowaniu pocisku V-2 w Niemczech w czasie II wojny światowej, a później uczestniczył w amerykańskich badaniach kosmicznych, uczynił przed swą śmiercią prorocze wyznanie odnoszące się do nie zidentyfikowanych obiektów latających i życia pozaziemskiego: „Jest równie trudno obecnie przyznać, że one istnieją, jak niemożliwe będzie zaprzeczenie ich istnieniu w przyszłości”. Miejmy nadzieję, że w przyszłości wykażemy dobrą wolę i będziemy gotowi zaakceptować istoty pozaziemskie oraz że będziemy odpowiednio przygotowani do spotkania z nimi zarówno na Ziemi, jak i w kosmosie.

W tym celu powinniśmy zdobyć się na wspólny wysiłek i swobodną wymianę informacji. Niezbędne okaże się zarówno dzielenie się wiedzą, jak i informowanie społeczeństwa o wszystkim co dotyczy gości z innych planet oraz możliwie najszersze uczestnictwo w bezpiecznym pokonywaniu przez nasz wspólny statek – Ziemię – wszystkich niebezpieczeństw czyhających w kosmosie. I choć jeszcze nie wiemy, czy nie zidentyfikowane obiekty latające zagrażają nam, to jest oczywiste, że ludzie stanowią niebezpieczeństwo sami dla siebie zarówno na Ziemi, jak i w kosmosie.

Coraz bardziej oczywista obecność UFO nad kontynentami i oceanami daje nam podstawę do refleksji nad użytkowaniem, jaki możemy zrobić z naszych odkryć naukowych dokonanych w ostatnim stuleciu i tych, które być może właśnie powstają.

Wiele motywów przypisywano zarówno wysyłającym do nas nie zidentyfikowane obiekty latające, jak i pasażerom tych pojazdów. Były to podejrzenia o chęć podboju Ziemi oraz pojmania przedstawicieli ludzkiego gatunku. Ale wszystkie te obawy były odbiciem motywów, jakimi my się kierujemy. Być może z powodu zagrożenia, jakie stanowimy sami dla siebie i naszego świata, właściwe byłoby inne wyjaśnienie. Może to, co nazywamy nie zidentyfikowanymi obiektami latającymi, jest częścią przesłania, które stanie się dla nas jasne, mimo że – miejmy nadzieję – wciąż mamy jeszcze czas...